

# Komary

## Październik

Znowu wielka polityka, jak zawsze co cztery lata. Tym razem wypadła w roku nieparzystym, ale to nie ma znaczenia. Walczyli tak samo – jak gladiatorzy. Oko w oko, przed kamerami, odpowiednio ubrani i uczesani, przygotowani przez doradców, aby wygrać z przeciwnikiem. Odpowiadali na pytania, przedstawiali pomysły, tabele, wyliczenia, mówili o partyjnych dokonaniach. Wyuczone, nienaganne maniere, szczerzy przyjacielski uśmiech w chwilach relaksu zaproponowanych przez prowadzącego. Gościli na festynach, skwerach, w parkach i na staromiejskich rynkach. Przepychając się wśród tłumu ściskali dłonie, rozdawali baloniki, przytulali dzieci i rozmawiali z ludźmi, wysłuchując ich problemów. Obiecywali poprawę, zmianę naszego życia na lepsze, szczęśliwsze, byśmy godnie zarabiali i żyli w bezpiecznym kraju. Potem wchodzili na trybuny, już na schodach czując smak władzy. Stawali przed mikrofonem, dziękując za głosy. Ufni w swój przekaz, trzymali w górze zaciśnięte pięści.

Patrzyli też z plakatów, jak aniołowie – opiekuńczy i troskliwi – oferowali pomoc, gdy tylko ich wybierzesz.

To była kampania, sztaby wyborcze zrobiły wszystko, by wypromować swoich polityków. Teraz z niecierpliwością oczekiwały wyniku, który dla wielu był zaskakujący.

Wygrała koalicja prawicowa, a najwięcej głosów zdobyła Unia Narodowo-Chrześcijańska, której głównym celem była odbudowa upadłych wartości moralnych. Nie wiem, jak to się stało, czy w wyniku szesnastoletnich rządów lewicy i liberałów nastąpiło takie rozluźnienie obyczajów, że potrzeba zmiany była tak silna, czy jej kampania okazała się skuteczna i sugestywna. Ludzie jednak zdecydowali, jak zdecydowali, z sobie tylko znanych powodów, ale niektóre wydarzenia miały wpływ na wybór.

Przez długi czas sprawowania władzy i możliwość wydawania odpowiednich decyzji, przydzielania lukratywnych kontraktów, narad, bankietów, rozmów w cztery oczy, nastąpiło połączenie interesów ich uczestników – chęci zwiększenia zysku. Nie odnotowanego nigdzie, poza ich portfelami. Dało to początek korupcji, ta z kolei mafii, która przejęła nad wszystkim niewidzialną kontrolę. Z czasem dusiła wszystko w zarodku. Szantażowała polityków, wykupywała gazety, zastraszała dziennikarzy, opłacała ludzi na coraz wyższych stanowiskach.

Zaczęły się jednak konflikty, będące wynikiem nieprzewidzianych wydarzeń. Początkowo były sporadyczne, dotyczyły mało ważnych osób i przeprowadzano je tak, że miały charakter wypadków. Nie informowano o nich, ponieważ były takie same, jak dziesiątki innych tego samego dnia – przykre i tragiczne – to się zdarza, musiały więc poczekać na ewentualny rozgłos w kolejce, a nikt tego nie chciał. Jeżeli zdarzyło się tak, że sprawa nie została zakończona standardowo, co wzbudzało podejrzenia, tuszowano ją natychmiast i bezwzględnie, świadków w zależności od stopnia wtajemniczenia likwidowano lub sami milczeli jak grób w trosce o życie rodziny i swoje. Z biegiem czasu na obszarach wpływów zaczęły się poważne przepychanki, które z powodu uporu ich uczestników utknęły w martwym punkcie – były niemożliwe do rozwiązania. Wtedy sprawy zaczęto rozwiązywać za pomocą sprawdzonej metody.

Oczywiście, używano jej wcześniej, jednak nie dotyczyła ona osób wysoko postawionych i nie była aż tak krwawa.

Pierwszą głośną egzekucją, o której zaczęto mówić, było zabicie wiceministra, który razem z żoną uczestniczył w zamkniętym i elitarnym przyjęciu urządzonym przez bogatego przedsiębiorcę.

Tamten listopadowy wieczór był ostatni dla wiceministra i jego dwóch ochroniarzy. Żona, leżąc w śpiączce, z przestrzeloną krtanią i dziurą w głowie, przeżyła jeszcze dwa dni.

Parę minut po ich odjeździe z bankietu nieznane auto, z którego przez otwarte szyby wystawały lufy karabinów zrównało się z rządowym samochodem. Nie sądzę, aby w mroku nocy goryle zobaczyli cokolwiek, jeżeli

to tylko przez przerywany ogień wystrzałów. Pierwszy serią w głowę został zabity kierowca, następnie celowniki zostały skierowane na tylne siedzenie, koncentrując się głównie na osobie wiceministra. Krótki ryk karabinów i kilkanaście kul uczyniło z niego martwą postać. Trzy trafiły żonę, która zgięła się jak żebraczka.

To było pierwsze tak śmiałe zabójstwo. Wywołało strach wśród ludzi, z którymi wiceminister robił interesy. Zanim zdecydowali się zrewanżować, wysłali do gazet sugestie dotyczące sprawców, bardzo bliskie prawdy, niestety nie do udowodnienia. W ten sposób media i ludzie, nie zdający sobie sprawy z sytuacji, po raz pierwszy zostali obserwatorami tej rozgrywki. Początkowo wydarzenia ciekawiły, lecz gdy nabrały tempa i bezwzględnej brutalności zaczęły przerażać. Wszyscy marzyli, by miały miejsce w innym kraju.

Grono osób robiących lewe interesy było duże i podzielone na grupy, które zajmowały się ustalonymi branżami i regionami. Nie trzeba było więc wielu domyslnych wśród poszkodowanych, żeby ustalić sprawców. Reakcja nastąpiła dwa miesiące później, w styczniu następnego roku. Nie wiadomo, czy dlatego, że tworzone plan, czy żeby zmylić czujność przedwcześnie przekonanych o braku reakcji. A była. Dotyczyła grubej ryby, człowieka, który posiadał stację telewizyjną, dwie gazety, kilka fabryk i linię lotniczą kursującą na pięć kontynentów. Był popularny, lubiany, miał wielkie wpływy. Należał do najlepiej poinformowanych i mógł bardzo dużo. Dlatego go wybrali. Pozwolono mu spędzić święta z rodziną, sylwestra i Nowy Rok w Bangkoku, i po tym krótkim odpoczynku od zawodowych zajęć dwa tygodnie później otruto. W prosty i stary jak świat sposób, gdy wieczorem wraz z trzema obcokrajowcami o podobnie rozległych kontaktach jadł kolację w restauracji, ustalając warunki transakcji. Rozmawiali dosyć długo. O czym, nikt nie wie, ale zapewne każdy osiągnął co chciał, bo zegnali się zadowoleni. Gruby, tak mówiono na bossa, nie dotrzymał jednak umowy. Po powrocie do domu, siedząc i przeglądając papiery przy mahoniowym biurku, złapał się za gardło i jak ryba otwierał usta. Upadając, wyrzucił krzesło, zrzucił lampę, a zaalarmowana hałasem żona zadzwoniła niepotrzebnie po karetkę.

Jego śmierć była szokiem dla wszystkich. Początkowo ludzie traktowali ją z niedowierzaniem, ale później odbiła się echem w całym kraju. Media prześcigały się w dostarczaniu mniej lub bardziej prawdopodobnych hipotez, obserwowały przebieg śledztwa, a wraz z nimi opinia publiczna. Badania krwi i treści żołądkowej ofiary stwierdziły, że przyczyną śmierci było otrucie. Policja bez trudu ustaliła restaurację, przesłuchiwała świadków. Wytypowała kelnera – wysokiego, szczupłego, zatrudnionego pięć tygodni wcześniej, o bardzo dobrej opinii, cichego, ale sympatycznego. To on zatrzał rybę po odebraniu jej od kucharza i podał biznesmenowi. Znalezione go w łóżku, w kawalerce, w której mieszkał z dziewczyną. Na stoliku stała butelka szampana, obok leżał plik banknotów. Prawie uczciwie, tyle tylko, że byli martwi.

Od tamtego czasu systematycznie zaczęto wyrównywać rachunki, a nienawiść nadawała im sens. Przyszła też kolej na trzech braci. Zawsze byli razem, szczególnie w interesach. Zaczynali od agencji kasyn. Stopniowo przejmując ich coraz więcej, doszli do ponad dziesięciu. Wtedy zaczęli wykupywać hotele, jednocześnie instalując w nich podsłuchy. Sprawę rozegrali wzorowo. Uzyskali informacje, na których im zależało, ale kiedy jesteś właścicielem sieci hazardu znasz wszystkie chwytty. To, czego się dowiedzieli wykorzystali na zaaranżowanych spotkaniach proponując wkład finansowy, co, wobec groźby szantażu, musiało spotkać się z aprobatą. Tak zaczęły się dla nich naprawdę duże pieniądze szybko lokowane w luksusowych hotelach, mieli ich już dwadzieścia na całym świecie. Zostali krezusami, poznali mafijną śmietankę, z czasem do niej dołączając. Byli ważnym elementem mechanizmu robienia interesów. Wybrano więc ich.

Śmierć rozmawia ze wszystkimi. Przyszła także do ich matki, przynosząc raka. Odwiedzali ją razem, obstawę zostawiając na korytarzu. W pokoju trzymali ją za rękę, głaskali po siwych włosach. Wspominali beztroskie dzieciństwo, które im zapewniła. Na koniec całowali i mówili, że według lekarzy jej stan ulega poprawie i umawiali się na kolejną wizytę za dzień lub dwa. Przed wejściem stały samochody, które zabierały ich w świat interesów, chorobę zostawiając z tyłu. Tak miało być i tamtym razem.

Przed szpitalem był park, w którym na ławeczkach siadali pacjenci. Okrążając go dojeżdżało się do szpitala. Gdy bracia byli na schodach, a ochrona pospieszyła, by otworzyć drzwi do samochodów, gdzieś z koron drzew padły równocześnie trzy strzały. Idealnie zgrane zwały się w jeden. Na moment ukłuły majową ciszę. Wszystkie trafiły w głowę. Zaskoczeni goryle zaczęli strzelać dookoła niszcząc samochody, raniąc i zabijając ludzi, na których spadł deszcz postrzępionych liści. Krajobraz jak po bitwie, a po środku na schodach nieruchomo leżeli bracia.

Przebieg wydarzeń i osoby, których dotyczyły, także sposób, w jaki traciły życie, uświadomił ludziom, że nie wszyscy, którym wierzyli, mieli czyste ręce. To, co później nastąpiło wzmocniło to przekonanie. Opanowanie chaosu powstałego po śmierci braci, wytypowanie ludzi do wykonania zemsty zajęło mafijnym bossom kilka miesięcy. Nie było pewności, która z organizacji dokonała zabójstwa, wybrano więc dwie, z którymi trwała największa wojna.

Czternastego lipca obie zostały poważnie zranione. Pamiętam dokładnie, bo to był koniec pierwszych dwóch tygodni wakacji, poza tym wszystkich zamordowano przed południem. Najpierw zlikwidowali prezesa Krajowej Rady Finansowej. Należał do bardzo wąskiego grona osób działających w grupie tak samo potężnej jak ta, w skład której wchodził bracia. Rano odebrał syna z wakacyjnego obozu zorganizowanego przez szkołę. Kiedy przyjechał pod dom i rozmawiał przy furtce z żoną, która wyszła im na spotkanie, a ochroniarz wyjmował z bagażnika plecak, zatrzymał się przy nich samochód i wysiadł z niego mężczyzna. Egzekucja trwała chwilę. Zabił wszystkich, oprócz matki, która ciężko ranna upadła w kwitnącą kalinę. Także przed południem, też do prezesa jednego z pięciu największych banków zyskownie lokujących mafijne pieniądze przysłano nieduży, elegancko zapakowany prezent, który eksplodował przy próbie odpakowania. Zabił adresata oraz jego sekretarza – doręczyciela niespodzianki, a częściami ich ciał udekorował gabinet.

Te morderstwa rozpoczęły otwartą wojnę. Mafia rozwinęła łańcuch zemsty, który jak wąż owinał wszystkich robiących interesy. Niestety, czasami ofiarami byli zwykli ludzie, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu

w niewłaściwym czasie. Zabijano bez skrupułów. Nie codziennie, ale raz w miesiącu na pewno wykonywano spektakularny wyrok. Ofiary były różne: członkowie rządu, ambasadorowie, przemysłowcy, prezesi banków zajmujących się nielegalną księgowością, kilku sędziów, prokuratorzy będący za blisko prawdy, główny komisarz policji pobierający dwie pensje, poseł, dyrektor urzędu celi, redaktor bulwarówki. Nie będę przypominał wszystkich morderstw, ale jedno muszę, ponieważ utkwiło mi mocno w pamięci.

To było w lutym, podczas ferii, w jednym z hoteli, w którym zawsze jest pełno gości, a czasami znane osoby. Po obiedzie zorganizowano spotkanie niepełnosprawnych dzieci z popularnym aktorem, który tam wówczas przebywał. Wynajęty autokar podjechał pod wejście. Dzieci wysiadły i grzecznie ustawiły się w dwóch rzędach przed rozsuwanymi szklanymi drzwiami. Blisko nich, wśród samochodów gości, stał mercedes, miał zabić jego właściciela, gdy będzie otwierał go pilotem. Jednak auto wybuchło niespodziewanie, gdy dzieci miały wchodzić do hotelu. Dwanaścioro zginęło na miejscu, troje zmarło w szpitalu. Nie zapomnę tej masakry, nawet mafia po niej przystopowała. Później, gdy siedziałem nad strumieniem, niestety spotkałem te dzieci kilka razy. Unosiliśmy się jak kosmonauci i uśmiechaliśmy się do siebie. Z ust płynęły im strumienie krwi. Dookoła latały oderwane ręce i głowy. Niektóre recytowały wierszyki, inne śpiewały piosenki. Chciały, żebym został, bawił się z nimi. To była straszna zbrodnia, a pamięć o niej wracała wzmożona koszmarowymi wizjami. Myślę, że nie tylko ja tak ją przeżyłem. Ale moim zdaniem, właśnie ona była kulminacją terroru. Ludzie powiedzieli dość i w wyborach zdecydowali o zmianie.

Jak wspominałem, do władzy doszła prawica, tworząc koalicję trzech partii: Unii Narodowo-Chrześcijańskiej, Partii Obrony Rodziny i Partii Postępu Narodowego. Rzeczywiście rozpoczęto krucjatę. Aresztowano kilkudziesięciu skorumpowanych urzędników i dyrektorów, prezesów i biznesmenów. Odbyły się pokazowe procesy, zapadały naprawdę wysokie wyroki, odpowiednio poinstruowany nowy wymiar sprawiedliwości był bezwzględny i surowy. Obława stała się punktem honoru rządzących. Nie szczędzili na nią sił i środków, prowadzona była z rozmachem, wszyscy musieli być w nią zaangażowani. Cieszyła

się dużym poparciem. Wreszcie widzieliśmy sprawiedliwość i twarze ludzi zamieszanych w popełnione morderstwa. Niestety, jak to zawsze w takich sytuacjach bywa, część najważniejszych osób została na wolności. Bossowie karteli nie chcieli ryzykować i przenieśli swoje interesy. Po dwóch latach byliśmy od mafii całkowicie wolni. Okazało się jednak, że przyszły znacznie gorsze czasy.

W tamtym okresie popularność rządu osiągnęła szczyty. Dysponując poparciem społecznym politycy przystąpili do realizacji następnych punktów programu koalicji.

Głównym jej celem było odtworzenie etycznych i moralnych zasad postępowania zaniechanych lub zmienionych z powodu stylu uprawiania polityki przez poprzedników. Reformę rozpoczęto od podstaw, czyli młodzieży. Za trzy główne czynniki, które były odpowiedzialne za zmianę jej zachowania uznano dostęp do internetu, używki oraz szeroko interpretowany kontakt z przestępczością. Na ten temat zgodnie wypowiadali się członkowie partii, stawiając za wzór własne dzieci, które dzięki stosowanym metodom wychowawczym wyrosły na wartościowych obywateli, patriotów. Gdy wraz ze zlikwidowaniem mafii spadła także przestępczość, skoncentrowano się na ograniczeniu kontaktu z internetem i przyjemnościami uznawanymi za nieodpowiednie i demoralizujące.

Pierwszym i najprostszym krokiem w tym kierunku był zakaz sprzedaży, produkcji i importu alkoholu każdego rodzaju. Całkowita prohibicja. Wszędzie. Pod groźbą kary dla właścicieli zamykano fabryki, hurtownie, wycofywano wszelkie trunki ze sklepów, barów, restauracji. Do dziewiętnastu lat podwyższono wiek dopuszczający wejście do dyskotek i pubów, co w połączeniu z prohibicją okazało się dla ich właścicieli gwoździem do trumny, bo pusty bilardowy stół i świeczki nikogo nie przyciągały. Część z nich przebranżowiła się otwierając sklepy muzyczne, odzieżowe, i tym podobne, reszta lokale sprzedawała albo wynajęła.

W drugim etapie koalicja zajęła się już internetem. Ograniczenia dotknęły wszystkich bez wyjątku i spełniły swoje zadanie. Odcieśli dostęp do stron, które zostały sklasyfikowane jako niemoralne, rozrywkowe, zbyt komercyj-

ne, o pornograficznych też wspomnę, choć wiadomo, że poszły na pierwszy ogień. Adresy w wyszukiwarkach zostały zablokowane, a przy próbach ich wpisywania były przekierowywane na nowe strony. Oczywiście funkcjonował monitoring. Świat wirtualny znany dotychczas przestał u nas istnieć. Zostało tylko to, co nikogo nie interesowało.

Następnie przysła kolej na narkotyki. Za posiadanie jakiegokolwiek ilości, niezależnie od rodzaju, groziła kara wieloletniego więzienia bez możliwości ubiegania się o warunkowe wyjście. Na uzależnionych policja urządzała obławy i stosowała prowokacje. Umieszczała ich w ośrodkach, w których byli poddawani resocjalizacji. Informowano wtedy rodzinę, że przez pięć lat dziecko będzie leczone na koszt państwa, bez kontaktu ze światem zewnętrznym. Zapewniano, że po powrocie nie wróci do nałogu. Podobno warunki tam panujące były ciężkie. Wszystkich golono na tyso, każdy mieszkał w małym, osobnym pokoju. Fizyczna praca w wyznaczonych fabrykach przywracała siłę i morale. W pokojach mieszkalnych robotniczej młodzieży i na korytarzach panowała cisza. Co wieczór odbywały się zajęcia ze szkodliwości narkotyków. Z resocjalizacji nie można było zrezygnować, jeśli chciało się opuścić ośrodek z pozytywną opinią komisji oceniającej.

Zajęto się pornografią w tak zwanym realu. Zlikwidowano czasopisma i wypożyczalnie dvd, ich właścicielom wytoczono procesy sądowe. Miękkie filmy porno zostały wycofane z ofert telewizji kablowej pod groźbą utraty licencji. Pozamykano burdele, w ciągu roku zniknęły z nich wszystkie pracownice. Wycofano i zakazano sprzedaży środków antykoncepcyjnych, które promowały seks i były sprzeczne z doktryną Kościoła.

Dla osób, które nie ukończyły osiemnastego roku życia wprowadzono od godziny dwudziestej drugiej godzinę policyjną.

Kazano zmienić modę, piętnując ją jako zbyt wyzywającą i prowokującą. Sklepy były często kontrolowane przez różnego rodzaju urzędy, mogące wystawiać wysokie mandaty i przy każdej okazji korzystające z tego uprawnienia. Równocześnie projektowano nowe stroje inspirowane ubiorami z minionych czasów, biorąc za wzór ich długość i osadzenie w tradycji.

Muzyka także musiała być odpowiednia. Nie mogła nawoływać do krzyku, buntu czy szaleństwa. Przestano wydawać heavymetalowe i rockowe płyty, nie organizowano ich wykonawcom koncertów. Dawni idole mieli siedzieć cicho. Nowo powstałe zespoły, dotowane z pieniędzy Ministerstwa Kultury i Pamięci, grały piosenki o szczęściu i o rodzinie. Prezentowane były w radiu i telewizji, na festiwalach i festynach z niezbyt liczną publicznością. Występowali tam dziwni ludzie, nigdy przedtem ich nie widziałem. Wydrukowano im plakaty, jeden nawet sobie kupiłem. Dla lepszego zrozumienia przeprowadzanych zmian powstała specjalna instytucja. Miała nadzorować media i przekazywać do nich teksty o właściwym charakterze.

Nie można było szybko jeździć, na autostradach wprowadzono ograniczenie prędkości do 90 km/h. Znacznie wzrosła liczba patroli, a mandaty były bardzo wysokie. Każdy samochód musiał być wyposażony w gps. Wyjazdy za granicę zostały utrudnione. Dozwolone były przeważnie w celach służbowych lub po uzyskaniu zezwolenia. Praktycznie urwano kontakt z zachodnią cywilizacją. Po trzech latach wycofano ze sprzedaży papierosy. Były niezdrowe, a według władzy nie było powodów do wspomagania się szkodliwymi używkami.

Zakazano hazardu i loterii, za bardzo uzależniają.

Życie stało się nie do zniesienia. Ale nikt nie protestował. Ludzie byli w szoku i bali się.

Byłem załamany. Stawałem się uczestnikiem narodowej apatii. Niewiele mnie interesowało. Traciłem wiarę, że cokolwiek może się dla mnie liczyć. Nie zgasłem całkowicie, tliłem się dzięki rodzicom, którzy podtrzymywali mnie na duchu. Teraz nadal żyję w tym kraju, ale jestem im wdzięczny, że mogłem przeżyć to, co przeżyłem.

Beznadziejne czasy spowodowały, że zaczęliśmy odnawiać osłabione kontakty. Kuzynki i kuzyni byli tacy sami jak my, cieszyli się każdą naszą wizytą. Jakby czas i otoczenie nie miało żadnego znaczenia. Wspominaliśmy przeszłość, pomimo ryzyka wyjmowaliśmy schowane czasopisma, słuchaliśmy muzyki, oglądaliśmy albumy ze zdjęciami, które zamieniły się w kroniki. Lu-

biłem te wyjazdy. Kupiliśmy działkę i jeździliśmy na nią, odgradzając się od świata przyrodą, a gdy zostawialiśmy w mieście na weekend szliśmy do parku.

Kolegów już nie miałem. Niestety, część trafiła do zakładów, a pozostałych zgarnęli rodzice, żeby nie podzielili losu tamtych. Siedzieli teraz w mieszkaniach, trzęsąc się ze strachu jak myszy. Kiedyś co wieczór chodziliśmy do knajpy, piliśmy piwko. Były narkotyki, na początku trawka i haszysz, potem proszek, i to nie byle jaki. Proszek to poważna sprawa, nie dla wszystkich. Ja miałem z nim trochę szczęścia. Popijaliśmy go alkoholem i rozmawialiśmy później do rana. Rechotaliśmy jak opętani, tańczyliśmy, śpiewaliśmy, łapaliśmy głupawki i oczywiście zapraszaliśmy panienki. Było klawo. Kiedy wziąłem pierwszy raz, dokładnie pamiętam.

Siedzieliśmy przy stoliku. Przyszło sporo ludzi, muzyka grała, wieczór rozręcał się w dobrym tempie. Puściliśmy dwa nabicia – trzy kolejki. Krótco czekaliśmy na efekt wizyty substancji. Oparłem się o ścianę. I już po chwili pierwszy raz w życiu poczułem jak działa kokaina. Przez moje ciało pędziła fala krwi. Była świeża i zdrowa. Czysta czerwień. Miała uderzyć w mózg i pobudzić go wspaniałą siłą. Pędziła jak tajfun. Przeszła przez płuca, zostawiając po sobie uczucie trupiego chłodu, zacisnęła się na szyi i rozbiła o czaszkę. Poczułem, jak fala penetruje mózg, wciskając się wszędzie. Odchyliłem głowę i wybuchnąłem szalonym, niekontrolowanym śmiechem. Z palców wyszły mi mrówki. Miałem wielkie oczy. Kiwałem głową, jak na sprężynie i powtarzałem nienormalnie: tak, tak, tak. Wtedy wszyscy wiedzieli, że złapałem, że jestem pierwszy. Cieszyli się, że niedługo dołączą i będziemy w komplecie. Wzniesli za mnie toast. Przedrzeźniali mnie i powtarzali tak, tak, tak, to zostało hasłem wieczoru. Nie mówili, że będzie fajnie? Było. Czułem się jak nakręcony. Nie słyszałem muzyki. Musiałoby się palić, żebym zareagował. Po jakimś czasie wydało mi się, że jestem sam. Chociaż widziałem znajomych, nie byli ze mną. Nie mogłem się odezwać. Głowa zaczęła mi się powiększać. Rosła jak balon. Z zewnątrz gniótł ją gigantyczny ciężar. Usłyszałem rozmowy w obcych językach. Ludzie mieli po kilka twarzy. Poczułem zapach wszystkich, ale to wszystkich alkoholi świata, każdy potrafiłem rozróżnić.

Usłyszałem muzykę i elektryczną gitarę, ostrą jak żyłotka. W przeciwnym rogu sali zobaczyłem kto grał. On – wielki, szeroki na trzy stoliki, zgięty w pół pod sufitem, bo był za wysoki. Jego ciemna postać migała mi w dymie. Nie potrafiłem określić jego twarzy, chociaż na mnie patrzył. Znad pochyłonych pleców unosił głowę, stalowe oczy celowały we mnie. Nagle wszystko zatrzymał. W pół zdania, zaciągnięcia papierosem, pocałunku, poprawiania na krześle. Wysunął do mnie rękę. Był w czarnej koszuli, czyściutkiej i wykrochmalonej, zapiętej pod szyję, ze sztywnym jak tektura kołnierzykiem. Otworzył dłoń. Zobaczyłem linię życia oznaczającą zło. Zatrzymał mi ją przy twarzy. Zasłonił wszystko. Czas uciekł gdzieś. Wyciągnięta czekała, by przy najmniejszym drgnięciu zmiażdżyć mnie o ścianę. Straszyl. Zacząłem się modlić. Przepraszałem, ale słowa odbijały się od dłoni i wracały tworząc śmieszoną litanię. Poczułem lzy na policzkach. Usłyszałem płacz.

Wtedy wszystko ruszyło ponownie. Jak w starym zegarze. Wróciły rozmowy, picie, śmiech, pocałunki. On zniknął. Nie było ręki, ani muzyki, która cięła mi mózg na plasterki. Siedziałem nie wierząc. Przetarłem twarz dłonią. Policzki były suche. Rozejrzałem się niepewnie. Wszyscy bawili się dobrze, jakby nic się nie wydarzyło. To możliwe? Uff. Pochyliłem się i oparłem o stół. Wziąłem piwo i wypilem całe. Po chwili poczułem, jak ze strachu nadal drgają mi nogi. Coś się jednak wydarzyło.

Obiecałem sobie wtedy, po tym pierwszym razie, że nie będę brał twardych narkotyków. Dym na sali wypełniał każdy wolny kąt. Podobny do szarej mgły wisiał w powietrzu. Było późno, ale tłok nadal ten sam. Wstałem i powiedziałem, że było fajnie, ale muszę iść. Kumple namawiali, żebym został, bo wieczór jeszcze się nie zakończył. Odmówiłem pod pretekstem, że nie chcę przedobrzyć. Zrozumieli i umówiliśmy się na następny dzień.

Pałęm jeszcze różne materiały, lżejsze i cięższe. Obietnica, którą złożyłem? No cóż. Sami wiecie, bez komentarza. Dziś jestem w zupełnie innym miejscu w życiu, rzucanie słów na wiatr mam za sobą. Dla uczciwości muszę wspomnieć, że zawsze, gdy brałem narkotyki, chciało mi się pić, więc piłem, pałęm i upijałem się.

Nie pamiętam kiedy ostatni raz widziałem się z chłopakami. Po wyborach zaczęto ich wyłapywać i zgarniać. W ciągu kilku tygodni policja miała wszystkich i umieściła w zakładach nazywanych ośrodkami społecznej edukacji. Ci, którym los dopomógł i do nich nie trafili, chowają się teraz w domach i trzęsą przy każdym dzwonku do drzwi, obiecując, że już nigdy nie będą brali. Nie kontaktujemy się nawet telefonicznie. Im nie pozwalają rodzice, pilnując, żeby się nie zdradzili, ja obiecałem sobie, że zrezygnuję z ich towarzystwa. To było dawno temu, a czas jednak płynie. Od trzech lat żyję tylko w towarzystwie rodziny i brakuje mi chłopaków. Stawałem się coraz bardziej obojętny, do domu wracałem jak do więzienia, choć starałem się tego nie okazywać. Najmocniej nasiliło się to przed którąś zimą i trwało do wiosny. Wtedy, podczas jednego z pierwszych spacerów w parku, spotkaliśmy idących z naprzeciwka znajomych rodziców, z dziećmi – bratem i siostrą.

Panie miały łzy w oczach, nie widziały się kilka lat, ojcowie długo nie puszczały ściśniętych dłoni. My, młodzi, zostaliśmy sobie przedstawieni. Gdy podawałem rękę dziewczynie, jej bratu, nie przypuszczałem, że tak bardzo się zaprzyjaźnimy, a wkrótce odkryjemy, do czego służą komary. Poszliśmy wszyscy na kawę. Po drodze dowiedziałem się, że ich ojciec jest lekarzem, pracował na Bliskim Wschodzie, na bardzo atrakcyjnych warunkach finansowych. Do kraju przyjeżdżali co pół roku na dwa tygodnie, jednak w związku z wprowadzonymi nowymi zasadami podróży, nie otrzymali zgody na ponowny wyjazd i kontrakt został zerwany. Na drzwiach kawiarni wisiała tabliczka z napisem Remont. Zaprosili nas do siebie. Mieszkanie mieli ładne i duże, ale nie było w nim zbyt wiele miejsca. Każdy kąt zastawiony był pamiątkami, najcenniejsze wypełniały salon, w którym siedzieliśmy. Na ścianach wisiało mnóstwo obrazów. Przy wejściu stały dwa zegary, które wyglądały jak strażnicy. Przy stole nakrytym haftowanym obrusem przeglądaliśmy ich zdjęcia z wyjazdów. Dziewczyna brała je od mojego ojca, przekazywała bratu, on mnie. Mówiła do niego Bono. Była młodsza od mnie o rok lub dwa i dobrze wychowana. Miała delikatnie zaokrągloną twarz, niebieskie oczy, różowe, niewinne usta, włosy trochę spadające na ramiona. Kiedy oka-

zało się, że planuje zdawać na uniwersytet, rodzice poprosili, żebym jej o nim powiedział. Słuchała i uśmiechała się, wdzięczna za informacje.

Rozmowę kontynuowaliśmy u Bona w pokoju. Przy stole nie był zbyt rozmowny, ale kiedy siedzieliśmy we trójkę okazał się sympatyczny. Wysoki, czarnowłosa, z przedziałkiem po środku. Nosił baki, granatową koszulę w kratę i czarne dżinsy. Na ścianach wisiały plakaty zespołów, które nie mogły grać, w rogu stała gitara. Poprosiłem, żeby coś zagrał. Zgodził się bez problemu. Okazało się, że mamy podobny gust. Sądzę, że zaprzyjaźniliśmy się wtedy. Być może podczas pierwszego spotkania zrobiliśmy to z lekką rezerwą, ale to z powodu ostrożności, której się nauczyliśmy. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy, prawie nie wychodząc z pokoju, szczęśliwi z powodu przypadkowego spotkania i nieświadomi, że czas dogonił wieczór, co potwierdziły zegary. Wtedy weszli rodzice, zadowoleni jakby dokonali wielkiego odkrycia i powiedzieli, że musimy już iść. Zapytałem Bona, czy nie dałby mi numeru telefonu, zgodził się i poprosił o mój. Nie ustaliliśmy, kto zadzwoni pierwszy, ale choć znałem go krótko, miałem przeczucie, że muszę wykręcić jego numer.

Zrobiłem to pod koniec tygodnia. ZapropoNOWał spotkanie we trójkę następnego dnia i pieszą wycieczkę do nieczynnego rzecznego portu. Nigdy tam nie byłem, słyszałem natomiast kilka opowieści. Stary, wybudowany na dalekich przedmieściach, z dwoma liniami kolejowymi, opustoszałymi i nieczynnymi halami, rdzewiejącymi dźwigami i betonowym, długim nadbrzeżem. W czasach największej świetności spływały do niego barkami towary potrzebne do funkcjonowania dużego miasta i pewnie trochę przemytu dla przyjemności wybranych mieszczuchów.

Spotkaliśmy się w sobotę przed południem. Jak na tę porę roku dzień był piękny. Bezhmurne niebo z wiosennym, smętnym słońcem, wiszącym jak żółtko jajka i temperaturą bliską zera. Śnieg powoli zaczynał się topić, a powietrze było czyste. Poszliśmy na przystanek. W autobusie było kilka osób, ale na pętlę dojechaliśmy sami. Gdy wysiadaliśmy, zobaczyłem, że kierowca patrzy nas w środkowym lusterku. Stanęliśmy przy zaspie usypanej z odgarniętego z chodnika śniegu.

– No to jesteśmy w połowie. Jeszcze taki sam kawałek, ale piechotą – powiedział Bono. – Może być?

– Może, nawet częściej – odpowiedziałem.

Po raz pierwszy od trzech lat szedłem na weekendowy spacer bez rodziny. Czułem się jak więzień, którego objęła amnestia albo który dostał pierwszą przepustkę. Mogłem iść bez przerwy, aż do wieczora.

– Nie wiem tylko, czy dla siostry to nie za daleko? – spytałem. Mówił do niej siostra, więc ja też tak się zwracałem. Lubiła to. Tylko raz lub dwa powiedział do niej po imieniu.

– Nie, nie. Nie martw się o mnie. Fajna pogoda. Możemy iść. Chodźmy. To kawałek drogi.

– Byłaś już w tym porcie? – sądziłem, że tak jak ja, idzie tam pierwszy raz.

– Tak. Byliśmy z Bono parę razy. Ostatnio w zeszłym roku w lecie. Niesamowite miejsce. Dobrze, że zapomniane przez wszystkich. Nikogo nie ma. Cisza, spokój.

– Super. Nie mogę się doczekać.

Poszliśmy przez pętlę, potem dalej gęsiego przez pola wąską miedzą, na której zostawiliśmy jedyne ślady na śniegu, aż do drogi, której nie było jeszcze widać. Szedłem ostatni. Rozmawialiśmy niewiele. Musieliśmy uważać, żeby nie stracić równowagi i nie wylądować w polu. Po jakimś czasie wychyliłem się ostrożnie, wyglądając końca drogi. Na horyzoncie ciemnoszara linia poszerzyła się wyraźnie. Rozpoznałem las. Do przejścia pozostał nam mniej więcej kilometr, potem zgodnie z zapewnieniem Bona była droga. Minęło południe i słońce grzało mocniej. Rozpiąłem kurtkę. Szło mi się ciężko. Nie z powodu odległości, lecz śniegu. Buty grzęzły w papce, w którą się zmieniał. Siostra, żeby się nie przewrócić, dwa razy łąpała się brata. W pewnym momencie niewiele przed końcem, nie zatrzymując się, wskazał ręką w prawą stronę na kępę drzew.

– Widzisz te drzewa?

– Uhm – przytaknąłem.

– Pod nimi jest mały staw. Chyba nawet bardziej przypomina bajoro. W lecie przylatują tam całe stada ptaków. Robią taki jazgot, że nie można

wytrzymać. Nie słyszysz, co mówisz. Ale są krótko, odlatują gdzieś przed końcem wakacji. Na szczęście.

– Dobre miejsce na ryby. Na linka. One lubią takie wody.

– Chyba za mały i za płytki, z daleka wygląda na większy. Nigdy nikogo tu nie widzieliśmy. Raz tylko jakiegoś starszego faceta.

– Rozmawialiście z nim?

– Nie. Stał dalej w polu i przyglądał się. Dziwny typ.

– Pewnie to okoliczny wieśniak. Tacy są.

– Pewnie tak. Zmęczyłaś się?

– Nie. Ale niewygodnie idzie się w tym śniegu.

– Zaraz wyjdziemy na drogę.

Zajęło nam to prawie kwadrans. Gdy stanęliśmy na drodze tupaliśmy nogami zrzucając z butów śnieg. Widziałem las. Od drogi oddzielał go ciągnący się wzdłuż trzydziestometrowej szerokości biały pas, na którym drewniane słupy wysokiego napięcia podtrzymywały zwisające ociężałe kable. Usłyszałem syczenie prądu. Za nami szosa ginęła w oddali. Nie była odsnieżona, samochody rozjeżdżyły kołami wąskie paski. Poszliśmy po nich. Dookoła cisza i świeże powietrze. Siostra żałowała, że zapomniała przygotować herbatę w termosie i kanapki, a Bono nie przypomniał jej o tym. Rzeczywiście napiłbym się herbaty, szczególnie z cytryną.

Szliśmy po wąskim asfalcie. W pewnej chwili zobaczyłem wciśnięty między drzewa dom otoczony drewnianym płotem. Nieduży, samotny, postawiony na odludziu, raczej bez sensu. Podeszedłem. Mrużąc oczy od śnieżnego odbłasku dostrzegłem, że jest zniszczony, obity starymi deskami, ma dwa wąskie oszronione okna z popękkanymi gdzieniegdzie szybami. Na dachu była papa i nieczynny ceglany komin. Stałem przy furtce. Chciałem obejrzeć podwórko, ale było puste. Po chwili odwróciłem się, żeby odejść. Wtedy nagle ze środka ciszy, zupełnie nie wiadomo skąd, rzucił się na mnie pies. Bono coś krzyknął. Kątem oka zobaczyłem wściekłego kundla, jego kanciastą głowę i nieprzyjazne oczy. Odruchowo zasłoniłem rękami twarz. Usłyszałem kłapanie zębów przemieszane z metalicznym trzaskiem. Gryzł i szarpał bramę

w ataku furii. Skakał i zahaczał zębami o metalowe pręty, jakby próbował rozzerwać ją własnym ciężarem. Był duży, jasnobrązowy, brudny i wychudzony. Skąd miał tyle siły? Cofając się potknąłem się i upadłem. Bono podbiegł do mnie. Podał rękę i pomógł wstać. Zapytał, czy nic mi się nie stało. Zacząłem otrząpywać ubranie i zaprzeczyłem.

– Chodźmy stąd, to przestanie – przekrzyczał psa.

Odszedłem, wycierając w kurtkę ręce. Zastanawiałem się, skąd w tych psich zwłokach tyle siły, rzucał się i walczył jak morderca. Bono stał z tyłu, nie chcąc go drażnić, siostra za nim. Na jej twarzy mieszało się niedowierzanie z zakłopotaniem. Mimo wszystko ulżyło mi.

– Dobrze, że była brama – powiedziałem.

– Masz szczęście. Naprawdę blisko stałeś.

Potwierdziłem i zaczęliśmy ponownie iść. Jakies dwieście metrów przed nami, po lewej stronie, rósł las, niezbyt duży widziałem, gdzie się kończy. W porównaniu z tym, wzdłuż którego szliśmy, przypominał zagajnik. Psa i obskurny dom mieliśmy za sobą. Przestał szczekać. Może zdechł wykonczony.

– Ciekawe, czy ktoś tam mieszkał? – zagadnęła siostra.

– W tym domu? Musiałby być wariatem. Widziałas, jak wyglądał.

– Ruina, wiem. Ale był tam pies.

Bono był przed nami. Zatrzymał się i czekał w cieniu lasu, z rękami w kieszeniach kurtki patrzył, jak się zbliżamy. Zostało nam kilkanaście kroków, gdy zwolniłem i obróciłem się. Stara obskurna rudera była daleko, ale przyciągała wzrok. Widziałem całą posesję. Nie mogłem jednak dostrzec, że zza zasłony przez szparę wydrapaną w oszronionej szybie obserwowała nas poorana bliznami twarz. Ledwo dostrzegalne oczy, z szybkimi niczym tiki nerwowe mrugnięciami patrzyły na nas. Na czymś, co kiedyś było ustami pojawił się uśmiech, po czym twarz zniknęła jak zjawą.

Dołączyliśmy do Bona. Las po obu stronach utworzył zielony korytarz. Było chłodniej, poczułem to jak lekki powiew klimatyzacji. Drogę pokrywał ubity, zmrożony śnieg, koleiny odznaczały się słabiej. Nagle siostra zaczęła

biec i ślizgać się na butach. Szliśmy z Bono obok siebie, przyglądając się jej zabawie. Gdy była na tyle daleko, żeby nas nie słyszeć, niespodziewanie wrócił do tematu.

– Chyba miałeś dzisiaj pecha.

– Dlaczego?

– Dziwne. Idę tą drogą już któryś raz i nigdy nie było w tym domu psa. Nawet śladu po nim. Nigdy też nie widziałem, żeby ktokolwiek w nim mieszkał.

– Nikt tam nie mieszka. Ten dom nie nadaje się do mieszkania. Pies mógł się przyplątać. Może jest jakaś dziura w płocie. Może wszedł i szuka żarcia, albo ma tam dzikie legowisko na zimę.

– Może – odpowiedział nie do końca przekonany.

– Często chodziliście tędy do portu?

– Tak, zawsze. To najlepsza droga. Na skróty musisz się przedzierać przez łąki i chaszcze. A wcale wiele nie zyskasz. Nie opłaca się. Tędy jest szybciej i wygodniej.

– Ok.

Spojrzał na mnie, wskazał głową siostrę. Stała na środku drogi i czekała na nas.

– Ścigamy się? – zapytał.

– Możemy.

– Widzisz tamtą sosnę?

Rosła po prawej stronie drogi, trochę przechylała się na nią.

– Biegniemy do niej, potem kto dalej na butach.

– Jasne.

Zapiął kurtkę pod szyją i postawił kołnierz.

– Za duże opory powietrza? – zapytałem prowokacyjnie.

– Nie. Chowam skrzydła.

– No to teraz będą równe szanse – sprawdziłem suwak w kurtce. Byłem gotów.

Patrzył na siostrę zamyślony, jakby zapomniał dodać jakiejś reguły do wyścigu. Zastanawiałem się, o co mu chodzi. Wtedy niespodziewanie krzyknął:

– Start!

Zaczął biec. Za moment biegliśmy już obaj. Wyprzedzał mnie o parę kroków. W połowie dystansu do sosny zacząłem go doganiać. Ścigałem się naprawdę – tak jak on – z zaciśniętymi zębami, wściekle oddychając przez nos, głowę trzymałem sztywno. Widziałem siostrę w oddali. Podskakiwała w rytmie moich kroków. Jakimś cudownym sposobem przyspieszyłem i dobiegłem pierwszy do sosny. Przy niej odepchnąłem się i dalej jechałem na butach. Lewą nogę wysunąłem przed siebie i rozłożyłem ręce. Nie mogłem złapać równowagi. Balansując ciałem szukałem środka ciężkości. Było jednak ślisko, a rozpedziłem się do granic możliwości. Patrzyłem na drogę jak zakłętą. Czułem, że zaraz się wywałę i obrzydliwie potłukę. Odważyłem się spojrzeć na siostrę. Stała już blisko po lewej stronie i kibicowała śmiejąc się. Przystawałem się ślizgać. Odwróciłem się, ciekawy gdzie jest Bono, ale zrobiłem to zbyt pewnie i podcięło mi nogę. Machnąłem rękami młynka i upadłem na plecy. Uderzyłem tak mocno, że przytknęło mnie. Nie mogłem złapać tchu. Próbowałem się podnieść, żeby nabrać powietrza. Wtedy usłyszałem przeraźliwe:

– Nieceee!

Zdażyłem spojrzeć w jego stronę. Pojawił się jak kolos, metr ode mnie, przeskakując świsnął mi nad głową i upadł plackiem.

Wstałem powoli. Zrobiłem głęboki wdech i zacząłem oddychać. Spojrzałem na Bona. Leżał na drodze i patrzył w niebo. Pochyliłem się i podałem mu rękę.

– Cały? – spytałem.

– Cały. Dzięki.

Staął i poprosił siostrę, żeby otrzepała mu kurtkę na plecach.

– Wygrałeś.

– Wygrałem.

– Gratulację, graba.

Przybiliśmy pięć. Po chwili spytał:

– Widzisz tam, przed nami, jak las odbija w prawo?

Przyjrzałem się. Rzeczywiście tak było, jednak daleko stąd.

– Tam jest rozwidlenie. Ta droga prowadzi dalej w prawo, zawija parę razy i kończy się bez sensu w polu. Chyba tylko dla rolników. W lewo jest nasza do portu. Jak podejdziemy bliżej, to ją zobaczysz. Od skrzyżowania mamy już tylko kilometr, może półtora.

Kiedy doszliśmy do rozwidlenia dróg, stanęliśmy na środku. Zobaczyłem, jak dużo przeszliśmy. Wszystko wydawało się odległe i nieosiągalne. Najbliżej był port. Kiwnąłem do Bona głową na znak, że mogę iść dalej.

– No to chodźmy – zaproponował.

Śnieg był mokry, nieznaczony żadnymi śladami. W górze kable nadal skwierczały z nadmiaru prądu. Otaczała nas biel, płaska jak stół. Kończyła się tam, gdzie kończą się pola, daleko. Droga prowadziła coraz bardziej na południe. Nie spodziewałem się, że tak zmieni kierunek, ale musiałem jej zaufać. Opłacało się, mniej więcej w połowie wyprostowała się, wskazując rzędy magazynów i wystające nad nimi dźwigi, zastygnięte w bezruchu jak stalowe żyrafy.

Doszliśmy do bramy. Zatrzymałem się i puściłem Bono przodem. Skręcił, żeby wyminąć szlaban i przejść między nim a zaniedbaną stróżówką. Zatrzymałem się przy niej na chwilę i w brudnej szybie zobaczyłem swoje odbicie.

– Gdzie idziemy? Może zobaczymy dźwigi? Chodźmy do nich – zachęciła siostra.

Czekałem co Bono odpowie.

– Chodźmy na nadbrzeże. Później pójdziemy do dźwigów.

Zgodziła się, ale niechętnie. Weszliśmy na teren magazynów. Długie i szerokie ciągnęły się jak baraki w obozie. Pod dachem były zakratowane okna, ogromne drzwi pozamykano na głucho. Przy ścianach stały wieże z przegniłych palet, gotowe zważyć się przy mocniejszym wietrze. Przeszliśmy przez tory – z daleka w zimie nie do rozpoznania – i skręciliśmy w lewo.

– Trochę tu niesamowicie. Nikogo nie ma – powiedziałem.

– Uuu !!! – zahuczała siostra i machając rękami podeszła do mnie. – My jesteśmy i zjemy cię teraz.

– Uuu !!! Już nie uciekniesz stąd – dołączył Bono. – Zrobimy ci kuku. Uuu!!! Litościwie zapytam, czy chcesz się z kimś pożegnać?

Zaśmiałem się.

– Tak i dlatego spadam, gdzieś w tamte pola.

– Uuu !!! Jesteś osaczony. Nie masz szans – poinformowała siostra. Biegła, udając ducha.

– Masz swoje upragnione dźwigi – przerwał jej Bono i wskazał na kanał portowy.

Szliśmy prosto, odbiliśmy w prawo, potem w lewo i zobaczyliśmy je w całej okazałości. Razem z barkami przycumowanymi do brzegu i statkiem turystycznym, który nie wiadomo dlaczego zakotwiczony był na środku kanału. Na nadbrzeżu stało kilkanaście odrapanych kontenerów, takich przewożonych przez tiry. Nad nim unosił się w oddali most zwodzony. Tam pewnie płynie rzeka i jest wejście do portu – pomyślałem. Na wysokości statku zobaczyłem urządzenie, którego przeznaczenia nie znałem. Wielka szyna z kabiną u góry podtrzymywana na bokach przez ogromne kątowniki jeżdżące po torach, z boku zwisały grube łańcuchy. Ogromna maszyna. Kanał był zamaznięty, obsypany miejscami zeschniętymi resztkami liści z drzew, które rosły rzadko po drugiej stronie.

Spodobało mi się tu. Siostra pobiegła i wskoczyła na barkę. Przebiegła na rufę i przechyliła się przez barierkę.

– Uważaj! Ślisko tam jest! – krzyknął Bono.

– Uwżam.

Kiedy wróciła, zaproponowała, żebyśmy poszli na koniec drugi kanału.

– Tam nic nie ma. Mur i krzaki. Po co chcesz tam iść?

– Bo lubię tam chodzić. Poza tym pretekst, żeby dłużej połączyć po porcie. Proszę. Na chwilę.

– Ok. Chcesz? – zapytał mnie.

– Tak. Chyba zdążymy wyjść stąd przed zmrokiem. Nie chcę wieczorem zostawać tu z wami. Sam.

Zaśmiali się.

- Masz rację. Głodny się robię, kolego. Zadzwoń do mamy i pożegnaj się.
- Też mam nadzieję, że do wieczora stąd wyjdziemy – spojrzął na zegarek.
- Pośpieszmy się.

Minęliśmy statek na środku kanału ściskany lodem. Typowy pasażerski, na rejsy wycieczkowe po rzece. Z burty zwisał łańcuch zarzuconej kotwicy.

Fajnie było. Opuszczone, zapomniane miejsce zapraszało samotnością. Spytałem Bona, kiedy był tu ostatni raz.

- Jakies pół roku temu, dokładnie nie pamiętam.

Siostra stanęła na brzegu kanału, wpatrując się w lód.

- Zobaczcie. Ktoś tu był.

Podeszliśmy do niej. W śniegu wyraźnie odznaczały się ślady. Prowadziły wzdłuż nadbrzeża, od rzeki, wyginały się i znikaly za statkiem.

- O kurczę. Rzeczywiście. Spotkałeś tu kiedyś kogoś? – spytałem Bono.

– Nie. Ale w zimie rzadko tu bywałem. Dziwne. W lecie nikogo tu nie było. A co dopiero teraz, na takim zadupiu. Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył.

- Sprawdźmy, skąd się wzięły – zaproponowała siostra.

Poszliśmy do końca kanału z nadzieją na rozwiązanie zagadki. Uzyskaliśmy ją, częściowo. Minęliśmy most zwodzony i szliśmy dalej. Ślady nieznajomego prowadziły jeszcze kawałek prosto, po czym skręcały w pola i znikaly w śniegu. Zorientowaliśmy się, że niczego więcej się nie dowiemy i postanowiliśmy wracać do domu.

Na rozwidlenie przy lesie doszliśmy za dnia, później niestety zapadła noc, zimna i ciemna. Pomagały jej drzewa wzdłuż drogi. Prawie nic nie widzieliśmy i gdyby nie Bono, nie wiem, jak trafilibyśmy z powrotem. Powiedział nam kiedy mijaliśmy dom z ujadającym psem, po którym nie było teraz śladu i kiedy mamy skręcić w ścieżkę do pętli.

Siedzieliśmy na przystanku zmęczeni, ale zadowoleni. Nogi wyciągnąłem przed siebie, doznając uczucia ulgi. Wieczór był czarny, chłodny, z ust leciały obłoki pary. Ręce schowałem do kieszeni. Siostra szczelnie owinięta szalikiem, w rękawiczkach, podskakiwała od czasu do czasu przed nami.

Wyglądała, jakby słuchała muzyki ze słuchawek. Albo było jej zimno. Gdy zapytałem pokręciła przecząco głową. Powiedziała, że dawno nie była na takim fajnym spacerze, a podskakuje, bo ma dobry humor. Podeszła do Bona i postawiła mu kołnierz kurtki, aby osłonić szyję. On też miał dobry nastrój, ale niezadowolony z przegranego wyścigu stwierdził, że musimy zrobić następny. Dziś był drugi przez siostrę, bo nie trzymała za niego kciuków. Odpowiedziała mu, że myślała, że w takiej prostej sprawie jak ślizganie na butach poradzi sobie sam, ale obiecała ścisnąć za każdym razem, kiedy pójdziemy do portu.

Rodzice ucieszyli się, że się zaprzyjaźniliśmy. Umówiliśmy się na dwa tygodnie, wcześniej nie mogłem, bo wyjeżdżaliśmy do rodziny. Oczywiście poszliśmy do portu.

Spędzaliśmy tam prawie każdy weekend. Czasami nawet wpadaliśmy w tygodniu na godzinę lub dwie, żeby posiedzieć, popatrzeć na dźwigi, łańcuchy bujające się leniwie albo posłuchać, jak fale uderzają o statek zakotwiczony na środku kanału. Zналиśmy port na pamięć, każdy magazyn, przecznicę. Siostra uparła się i policzyła, ile jest stopni do kabiny na każdym z dźwigów, sprawdzaliśmy głębokości kanału, kiedy przybiera woda, o której godzinie słońce chowa się za drzewa na drugim brzegu.

Najpiękniej było w lecie. Mieliśmy wtedy dużo czasu. Ona zdała na studia, ja i Bono szczęśliwie zaliczyliśmy sesję. Byliśmy kumplami. Okazało się, że ani my, ani rodzice nie mogą załatwić nic ciekawego na wakacje, wszystkie kurorty świeciły pustkami. Wprowadzono tyle zakazów, że ludzie nie mieli ochoty na wyjazdy. Rodzice byli więc zadowoleni, że spędzamy ze sobą dużo czasu i dobrze się wspólnie czujemy. Poznali nas, zaufali, choć, jak się okazało, niezupełnie słusznie. Wiedzieli o porcie, jednak musieliśmy ich okłamywać, że chodzimy w inne miejsca, bo nasze codzienne wizyty tam byłyby podejrzane.

Zaczęło się to pod koniec czerwca. Pewnego późnego, wciąż parnego popołudnia.

Siostra, opalona i rozgrzana, chciała odpocząć i poleżeć nad strumieniem w cieniu pod drzewami. Tam pogryzły ją komary.

Tego dnia spotkaliśmy się jak zwykle na pętli, tym razem trochę wcześniej, bo o dziewiątej. Zanosiło się na piękny dzień, gorący jak dwa poprzednie. Pomarańczowe słońce łało z nieba promienie, rozgoniło chmury, a nad ulicą męczyło powietrze, wprawiając je w ruch. Od wczesnego rana dawało znaki, że nie przewiduje taryfy ulgowej. Czekali już na mnie. Siostra, w sukience ozdobionej wzorami pastelowych kwiatów, z daleka wyglądała atrakcyjnie. Bono, jak to on, znowu mnie zaskoczył. Był tradycyjnie w czarnym podkoszulku i postrzępionych džinsach obciętych do kolan. Pierwszy raz natomiast widziałem go w czymś innym niż nieśmiertelnych skórzanych butach. Założył sandały.

Stał oparty o wiatę, obok torby, w którą zawsze się pakowali, na niej położył gryf gitary. Zdziwił się, dlaczego mu się przypatruję.

– Co mu się stało? – zapytał siostrę.

– Nie wiem.

Spojrzałem w dół na bose stopy i oryginalne obuwie.

– O, widzę, że idzie z nami Jan Chrzyciel – zaczępiłem go.

– Tak. I zgodnie z tradycją wsadzę ci główkę do kanału w porcie. Wybierasz chrzciny czy bierzmowanie? – miał poczucie humoru, ale nie zawsze tolerował żarty z siebie. Chyba każdy tak ma.

– Bierzmowanie. Rozumiem, że drewniany kij i baranią skórę masz w torbie. A po drodze będziesz śpiewał psalm dwudziesty trzeci.

– Tak. To pieśń o twoich śmierdzących skarpetkach.

– Ok proroku. To idziemy. Robi się gorąco. Zaśpiewaj nam o mydelku fa.

Co ty no to, siostra?

– O, tak! Popieram. Tylko nie fałszuj!

Bono podniósł torbę i gitarę.

– Znasz słowo na s? – zapytał.

– Znam wiele słów na s. Na przykład buty. Przepraszam buty są na b. Co może być na s, w czym chodzi się w lecie i śmiesznie wygląda? Ciekawe.

Siostra śmiała się. Patrzyła na Bono.

– Na s są buraki. Prawdziwe. Takie jak ty.

– Uhm, aha. Uhm, aha. Buraki, buraki, buraki – zaśpiewałem.

Tak zaczął się tamten dzień. Zwykłym żartem, bez konsekwencji dla naszej znajomości.

Po drodze napiliśmy się wody z sokiem i zjedliśmy ciastka. Dochodziła jedenasta. Było strasznie gorąco. Dla siostry to ulubiona pora do opalania, nad kanałem ma do tego wymarzone warunki. Resztę czasu szliśmy jak skazańcy, niewiele mówiąc. Pot ściekał mi po plecach. W porcie było jeszcze gorzej. Słońce było prawie w zenicie, a beton odbijał lejący się żar. Nie wiał choćby wiaterek. Ledwo przysliśmy, a miałem już dość upału. Bono wyglądał, jakby biegł całą drogę. Od razu poszliśmy w cień pod kontenery i rozłożyliśmy koc. Siostra udała się ze swoim w jedyne interesujące ją miejsce. Na brzeg, w największy skwar. Rozebrała się, nasmarowała olejkim i zaczęła opalać. Za każdym razem, kiedy przychodziliśmy, a było słonecznie, zachowywała się jakby była z Afryki. Kładła się w słońcu i leżała najdłużej jak mogła. Robiła przerwy tylko, żeby się napić, pograć w badmingtona lub w karty.

Zdjąłem buty i spodnie, podkoszulek ułożyłem w kostkę pod głową. Obserwowałem niebo. Bono zagłębił się w „Poświęcenie i wiarę” Divotty’ego. Nieskazitelną błękit wisiał nade mną w letnim zastoju. Nawet ptak nie przyleciał mi do towarzystwa. Pewnie dlatego zasnąłem. Nie wiem, na jak długo. Obudziły mnie nagrzane piszczelki i stopy, które ukośny cień kontenera odcinał w kolanach, zostawiając na pastwę słońca. Na gorze bez zmian. Przekręciłem głowę szukając przyjaciela, ale okazało się, że jestem sam. Opuścił mnie i poszedł do siostry. Oboje czytali książki. Leżeli na brzuchach i opalali się. Wyglądali jak para zakochanych. Wstałem, zabrałem rzeczy i położyłem się obok nich. Siostra przerwała i spojrzała na mnie.

– Jak się spało?

– Dobrze, dziękuję – poprosiłem, żeby podała mi krem. Musiałem nasmarować nogi.

Wyjąłem z torby sok i napiłem się. Dobry, wiśniowy, nie za słodki. Ale już ciepły.

– Trzeba wstawić go do strumienia, bo zrobi się z niego zupa – stwierdziłem.

– Zaraz pójdę – powiedziała.

Przerwała czytanie. Usiadła, podparła się rękami z tyłu, odchyliła głowę. Zmrużyła oczy i spojrzała na słońce. Nasmarowałem nogi i położyłem się na plecach. Było cicho i błogo, nikt nic nie mówił. Po prostu leniwe wakacje.

Ocknąłem się po czasie, który wydał się chwilą. To Bono przewrócił kartkę. Siostra rozbudzona odwróciła głowę. Spojrzała na niego, potem na mnie. Uśmiechnęła się.

– Może jakoś nazwiemy to miejsce – zaproponowała.

– Mhm – odmruknąłem. Wolałem zostawić to na później. Było za gorąco na wymyślanie nazw.

– A nie może być port? Tak, jak jest – zapytał Bono. – Przybijamy tu regularnie jak statki, gdy tylko możemy.

– Cumujemy przy brzegu. Może być – dorzuciłem obserwując niebo.

– Port to żadna nazwa. Trzeba wymyśleć coś innego. Przecież to fajne miejsce. Prawie nasze własne.

– Port imienia Walentyny Tierieszkowej z domu Tragedia – powiedział Bono na odczepne.

– Dobrze – zgodziłem się.

– Mało śmieszne. Chyba za długo leżałeś na słońcu.

– Być może.

Przewrócił kolejną kartkę.

Po siedemnastej zrezygnował z czytania. Wstał z koca i przypomniał mi, że mieliśmy pójść na spacer do mostu. Oglądaliśmy go kilkakrotnie od momentu, gdy w krzakach znalazł korbę i oznajmił, że chce go opuścić. Od tamtej pory analizowaliśmy, co gdzie jest, do czego służy i jak działa. Wszystko po to, żeby opuścić most od razu, bez niespodzianek. Siostra powiedziała, że idzie na koniec kanału poleżeć pod drzewami.

Wtedy poszliśmy, żeby ostatni raz ustalić wszystkie szczegóły. Dwadzieścia minut marszu po betonowym nadbrzeżu – krótki spacer w najgorszej porze dnia. Na miejscu od razu schowaliśmy się pod most. Siedzieliśmy oparci o niego i odpoczywaliśmy. Rozmawialiśmy czekając, aby słońce zaszło za

drzewa. Później obejrzelismy mechanizm, ocenilismy między innymi, ile puszek smaru potrzeba i zaczęliśmy wracać. Dosyć długo to wszystko trwało. Wróciliśmy przed dwudziestą. Siostry jeszcze nie było, a powinna. Zawsze w lecie pakujemy się o tej godzinie, żeby zdążyć na ostatni autobus. Bono krzyknął na nią w kierunku, w którym poszła. Nie odpowiedziała. Poprosił, żebym po nią poszedł.

Nie było jej na końcu kanału. Przeszedłem więc przez dziurę w murze. Byłem za terenem portu. Szedłem ścieżką wzdłuż strumienia, który wypływał ze śluzy. Otaczały mnie pola, wiał przyjemny wiaterek. Byłem tu pierwszy raz. Zacząłem się niepokoić, co się mogło z nią stać. Krzyknąłem ponownie. Bez odpowiedzi. Po chwili zobaczyłem ją kilkadziesiąt metrów przede mną. Siedziała w jednym z niewielu miejsc, w którym oprócz przerośniętych krzaków rosły drzewa, kilka topoli. Lewą ręką się podpierała, prawą machała leniwie, odganiając komary sprzed twarzy. Zastanowiłem się, po co tam siedzi, skoro ją kąsają. Zwolniłem krok. Nie słyszała mnie. Zatrzymałem się. Opalone plecy z fioletowymi sznurkami od kostiumu wiązаныmi na kokardkę, profil, wyciągnięte nogi. Zrobiło mi się nieswojo. Kurczę, podglądam ją. Jednak coś było nie tak. Wyglądała na zmęczoną. Miała spowolnione ruchy. Zastanawiałem się, co się stało. Może dostała lekkiego udaru? Leżała przecież codziennie na słońcu tyle godzin. Może zatrula się czymś? Nie miałem pojęcia. Na szczęście zaraz się dowiem. Wyprostowałem się i podeszedłem. Nie chciałem, żeby mnie zobaczyła, kiedy ją obserwuję. Kłosa trawy wpadały mi do butów i wplątywały się w sznurówki. Nie lubiłem tego.

Zbliżyłem się na tyle, że powinna mnie już usłyszeć, siedziała jednak nadal w tej samej pozycji. Wystające na ścieżkę gałęzie częściowo ją zasłoniły. Myślałem, że może się mylę, ale kiedy odsunąłem je ostrożnie, żeby się nie podrapać i ominąłem krzak, byłem pewien, że mnie nie słyszy. Chciałem krzyknąć, żeby się odwróciła, ale zamiast tego zatrzymałem się. Sądziłem, że mam przewidzenie.

Prawie całe lewe ramię miała zakrwawione. Spływały po nim strużki krwi. Miałem rację. Jednak coś było nie tak, cholernie nie tak.

Dobiegłem do niej, upadłem na kolana i chwyciłem ją pod brodę. Przekręciłem twarz w moją stronę. Spytałem, co się stało. Błękitne oczy błyszczały nieobecnym blaskiem. Patrzyłem na nią przestraszony, a ona na mnie. Nic nie mówiła. Była jak we śnie. Przegoniła komary. Nie wytrzymałem, potrząsnąłem ją za ramiona.

– Co ci się stało?

Rozpoznała mnie. Nie wiem, czy po głosie, czy zauważyła wreszcie, że klęczę obok.

– Siadaj – znowu machnęła ręką. – Siadaj – zachęciła.

Poczułem się, jakbym dostał w głowę.

– Co ty mówisz? Siostra!

Cofnąłem się, żeby lepiej jej się przyjrzeć, uważając równocześnie, żebym nie spadł ze skarpy do strumienia.

– O kurwa.

Była prawie cała pogryziona. Czerwone bąble skrywała opalenizna. W nogi, brzuch, dekolt, co chwila kąsał komar. Ona nie robiła nic. Machała tylko niespiesznie, żeby nie gryzły ją w twarz. Spojrzałem na lewe ramię umazane krwią. Komary podlatywały kłębiąc się łapczywie. Gryzły, niektóre przyklejały się do skóry. Latały nad nią, jak czarne samolociki szykujące się do wojny.

– O kurwa.

Ręka wyglądała fatalnie. Spuchnięte ramię, gruba dłoń, prawie jak nadmuchana, powiększone palce. Pomyślałem, że może umrzeć od jadu, który ma w sobie.

Siedziała oparta wygodnie, w lekkim rozkroku, z głową zwrócona w kierunku zachodzącego słońca. Jakby nic się nie stało. Dookoła w trawie tętniło życie. Cykały świerszcze, ganiały się motyle. Wreszcie odwróciła się do mnie. Zadowolona, spojrzała obcym wzrokiem.

– No, siadaj. Trochę gryzą, ale to miłe.

Myślałem, że się przesłyszałem.

Trochę gryzą, ale to miłe – jej słowa wracały do mnie jak bumerang. Byłem przerażony. Zgrubiała dłoń wyglądała jak po kuracji sterydami.

Pobiegłem do Bona.

Spakował już nas wszystkich. Stał i zniecierpliwiony wypatrywał nas. Gdy zobaczył, że biegnę, zorientował się, że mam dla niego złą wiadomość. Przeskoczył przez plecak i pobiegł w moim kierunku. Po kilkudziesięciu metrach wpadliśmy na siebie.

– Bono... – dyszałem. Usta miałem suche, aż mi się lepiły. – Ona coś bredzi. Mówi głupoty – dostrzegłem ulgę na jego twarzy. – Rozwaliła sobie lewe ramię. Okropnie pogryzły ją komary. Cała jest w bąblach. Mówi, że to miłe.

Dłużej nie słuchał. Wyminął mnie i pobiegł. Pochyliłem się odpoczywając. Ręce oparłem na kolanach. Słyszałem bicie swojego serca. Popatrzyłem na beton, na małą plamkę oleju i piasek. Potem za siebie na magazyny i ma-lutkie drzewa w oddali. Dziwnie wygląda świat do góry nogami, wszystko zwisa z góry. Bona już nie było. Chwilę odpocząłem i pobiegłem mu pomóc.

Zatrzymałem się wcześniej przy krzakach, dając im czas na rozwiązanie problemu w rodzinnym gronie. Bez rezultatu. Stał nad siostrą próbując dowiedzieć się czegoś, potem ukucnął.

– Co ty zrobiłaś? Co ci jest? Kiedy to się stało? – starał się z nią rozmawiać.

– Phhh – dmuchnęła mu w twarz, rozgarniając chmurę komarów. – Już nie mam siły tak ciągle machać. Ręka mnie boli.

Sprawiła wrażenie, jakby nie słyszała, o co pytał, ale Bono łatwo się nie poddawał. Spytał ją o rękę, skoro zaczęła o niej mówić.

– Dlaczego cię boli? Skaleczyłaś się?

Znowu dmuchnęła i leniwie odpędziła komary. Spojrzała niezadowolona, że jej przeszkadza.

– Odganim komary.

– Jak długo je odpędzasz?

– Odkąd tu przyszedłem i usiadłem – uśmiechnęła się.

Podniósł głowę, zauważył mnie. Zacząłem się rozglądać, szukając jakiejś butelki po alkoholu. Z góry znałem efekt. W tym kraju od trzech lat nie było ani kropli. Przeszedłem się jednak dla pewności dookoła, rozgarniając trawę butem. Tak jak myślałem, niczego nie znalazłem.

– Siostra, gdzie się tak skaleczyłaś? – spytałem tonem sugerującym, że też chcę tak zrobić.

– O tamte krzaki. Tam – obróciła się i pokazała zakrwawioną ręką.

Omijałem ten krzew nie raz. Gruby, zdziczały. Zawsze uważałem, bo miał ostre kolce. Bardzo ostre, sądząc po ramieniu siostry. Przecinało je długie głębokie zadrapanie, obok niego jeden przy drugim wyrastały bąble pokryte krwią. Na reszcie ciała było podobnie. Z wyjątkiem twarzy, której broniła. Nie mogłem dłużej stać i patrzeć na to.

– Zabierzmy ją stąd – powiedziałem.

– Wstawaj. Masz chusteczki?

– Zostawiłam w porcie. Nie potrzebuję ich teraz. Chcę tu jeszcze posiedzieć.

Uniosła głowę i spojrzała na nas błędnym wzrokiem.

Staliśmy bezradni. Byłem zdezorientowany. Zacząłem podejrzewać, że jej stan nie jest tak zły, na jaki wygląda. Gotowy byłem pozwolić jej zostać, żeby dowiedzieć się, dlaczego chce siedzieć wśród gryzących co chwila insektów. Uśmiechnęła się do nas, dmuchnęła w komary i odwróciła w stronę zachodzącego słońca.

– Posłuchaj – powiedział Bono poirytowany.

– Siostra, napijesz się soku? Gdzie go postawiłaś? – przerwałem. Liczyłem, że zmiana tematu zmniejszy jej upór.

– Na dole, w strumieniu – poinformowała.

Skarpa nie była wysoka, ale stroma. Musiałem schodzić bokiem. Z trawy wystawały zeschnięte patyki, o które mogłem się potknąć i wpaść do wody. Ich trzask uświadomił mi, że nigdy nie paliliśmy w porcie ogniska, a drzewa przecież nie brakowało. Nie wiedziałem wtedy, że niedługo będziemy brali śpiwory i zostawali przy nim na noc. Na dole znalazłem butelkę z sokiem i napiłem się. Ociekała wodą, trzymałem więc mocno, żeby się nie wyslizgnęła. Zakręciłem i zaniósłem siostrze. Bono stał odepiały i patrzył na nią.

– Piłaś coś, jakiś alkohol? Może coś znalazłaś w porcie i ukryłaś przed nami? Posłuchaj. Muszę wiedzieć, co się stało. Gdybyś siebie zobaczyła. Wiesz, jak wyglądasz? Mów!

– Przecież widzisz, że pogryzły mnie komary. Trochę za bardzo, ale to... – zawałała się. – Nie swędzi bardzo. To... – chciała dokończyć, ale zrezygnowała.

Spojrzelśmy na siebie z Bono i zrozumieliśmy, co chciała powiedzieć. Uświadomiliśmy sobie odkrycie, którego dokonała. Niewiarygodne, ale jej zachowanie to potwierdzało. Nie podrapała się ani razu. Ugryzienia komarów w ogóle jej nie przeszkadzały.

W końcu, po kilku minutach pertraktacji, wstała. Bez pośpiechu i naszej pomocy. Pamiętała o autobusie, spytała, czy jeszcze zdążymy. Mieliśmy małe szanse. Bono wziął ją pod rękę. Zwolniliśmy koło krzaka, o który zawadziła. Żeby nam pokazać, jak to się stało, przyłożyła gałąź do ramienia. Haczykowate kolce pasowały idealnie. Powiedziała, że zatrzymała się od razu, jak tylko poczuła ból, ale było za późno. W porcie opatrzyliśmy jej rękę, Bono śliną nawilżał chusteczki, pocierał nimi skórę i zmywał zaschniętą krew. Kiedy skończył obłożył nimi ramię i ścisnął gumką do włosów. Nie wyglądało to najlepiej, bo przysłała w sukience na ramiączkach i opatrunek było widać, ale dobrze, że w ogóle był. Poszliśmy do autobusu. Po drodze zrobiło się chłodniej. Przypomniałem sobie, że na dnie plecaka mam koszulę. Dałem ją siostrze. Zobaczyliśmy w oddali pętlę i zapalone już światła w autobusie. Niedługo albo nawet zaraz odjedzie. Pobiegłem, żeby go zatrzymać. Udało się. Znałem kierowcę z widzenia, jechaliśmy z nim kilka razy. Też mnie poznał i poczekał bez problemu. Po drodze umówiliśmy się na telefon następnego dnia. Bono zadzwonił po południu i powiedział, że chce się spotkać u mnie jutro rano.

Przyszedł sam, tak jak się domyślałem. Usiedliśmy u mnie w pokoju i oczywiście rozmawialiśmy o siostrze. Powiedział to, czego się domyślałem od prawie trzech dni. Siedzieliśmy tak, nie wiedząc co robić z właśnie dokonanym odkryciem. W końcu ustaliliśmy, że następnego dnia pojedziemy do portu i poszukamy czegoś, co miałoby związek z komarami latającymi nad strumieniem i dziwnym zachowaniem siostry.

Rano sprawdzałem łąki, Bono krzaki i skarpe wzdłuż ścieżki. Skończyliśmy około czternastej, bez rezultatu. Wzięliśmy torbę, do której spakowałem narzędzia i poszliśmy do hangaru, pierwszego od strony kanału. Plan

był taki, że mieliśmy sprawdzać je wszystkie po kolei, rzędami, aż do muru i bramy. Stanęliśmy przy stalowych drzwiach, wyjąłem młotek i mesel. Bono wziął je ode mnie. Uderzył mocno w solidną, ale zardzewiałą kłódkę, która na szczęście rozpadła się od razu. Odciągnął skobel i spojrzał w górę na ciężkie połowy. Zaparł się nogami i zaczął jedną otwierać. Pomogłem mu pchać. Otworzyliśmy obie, by do środka wpadało jak najwięcej światła. Nie wiele to jednak dało. Weszliśmy do hangaru, gorąco było jak w piecu i nic nie widziałem. Stałem po trzech krokach, próbując oddychać stęchłym powietrzem. Odwróciłem się do ściany po omacku. Była gdzieś blisko. Wyciągnąłem rękę, żeby jej dotknąć i bezpiecznie wrócić do wyjścia. Zrobiłem kilka małych kroków, trafiłem dłonią na nagrzaną blachę i prawie się parząc wyszedłem. Oślepiło mnie słońce. Chociaż było popołudnie, nadał świeciło pod takim kątem, że do wnętrza hangaru dostawało się go tyle co nic. Bono zdjął przepocony podkoszulek, zrobiłem to samo. Wytarłem się nim i rzuciłem na torbę. Wziął z plecaka latarkę i weszliśmy do środka. Znowu nic nie widziałem, dopóki Bono nie zaświecił mi pod nogi.

– Uuu! – krzyknął, oceniając wielkość pomieszczenia. Blacha głośno odbiła echo. – Chyba tu nic nie ma, ale na wszelki wypadek sprawdzimy – zrobił jakiś gest przy głowie.

Poszliśmy w prawo, chcąc obejść hangar w przeciwną stronę niż biegną wskazówki zegara. Zbliżyliśmy się do krótszej ściany, będąc od niej w odległości zasięgu światła latarki. Powoli doszliśmy do rogu, nie znajdując niczego po drodze. Wyglądało na to, że pomieszczenie zostało dokładnie opróżnione, nawet pod nogami nic nie leżało. Skręciliśmy w lewo i zrobiliśmy kilkadziesiąt kroków, na próżno szukając czegokolwiek. Pot ściekał mi po plecach, oddychałem jak wentylator. Na frontowej ścianie było małe, brudne, zakratowane okienko. Bono kiedyś mnie podsadził, ale nie mogłem nic zobaczyć wewnątrz. Teraz promienie słońca przebijały się przez nie i urywały się w połowie dusznej ciemności. W pewnym momencie wydało mi się, że jest trochę chłodniej. Pomyślałem, że tak mocno się spociłem, ale nie, najwyraźniej temperatura się obniżyła.

– Czujesz? – zapytał Bono. Szedł przede mną.

– Tak.

Zwolnił i uważniej świecił dookoła. Doszliśmy do ściany. Bez wątpienia tu także było chłodniej. Znowu skręciliśmy. Bono świecił po betonie i na ściany. Bez rezultatu.

– Pewnie gdzieś stoi stara lodówka, przyda się – zażartowałem.

Nic nie odpowiedział. Przed nami było zakratowane okienko, czyli koniec krótszej ściany, wzdłuż której szliśmy. Bono świecił w rogu hangaru po betonie i ścianach. Chłód był wyraźnie wyczuwalny.

– Czujesz? Tu jest zimniej. Co się dzieje?

– Nie wiem, ale to dziwne. W takim miejscu to podejrzane.

Usłyszałem zdezorientowane westchnięcie.

Zaświecił pod nogi i trochę wyżej. W okrągłej plamie światła mignął jakiś kształt. Skierował latarkę w tamtą stronę.

– Jest – szepnął. – Widzisz?

– To beczka?

Podeszliśmy bliżej. Zobaczyliśmy ją, wylaniającą się z jasnego kręgu światła. Duża, ciemnoniebieska. Taka, w jakiej przechowują różne chemiczne substancje. Stała tuż pod ścianą, obok niej druga. Przy nich było najchłodniej. Powiedziałem o tym Bono i żałowałem, że nie miałem podkoszulka.

Poświecił na nie z góry. Czułem się jak dzieciak, który zabiera się za coś, za co nie powinien. Obydwa wieka pokrywał biały, lekko zbrylony osad, najwięcej było go wzdłuż brzegów. Domyślałem się, że tam są nieszczelne.

– Nie podchodź bliżej – Bono chwycił mnie za rękę. – Nie wiadomo, co to za syf.

Nie miałem takiego zamiaru. Staliśmy około czterech metrów od nich, to mi wystarczyło. Poza tym, gdybym podszedł, mógłbym się zaziębić. Wyraźnie czułem chłód, który wzmagał się przy beczkach.

– Nie, na pewno – zapewniłem go.

Zaświecił na dół, ani śladu białej substancji. Światłem latarki nadal jednak sprawdzał to miejsce.

– Chodź – czułem się jak w jaskini. Brakowało tylko kapiącej z sufitu wody.

– Patrz! – szturchnął mnie nagle.

Spojrzałem w miejsce, które oświetlił. Na beczkę, taką jak dwie poprzednie. Za nią, przy ścianie, stały następne. Nie wiadomo było ile, ginęły poza zasięgiem latarki. Wszystkie pokryte białym osadem.

– Niedobrze. Za dużo ich – oceniłem.

Miałem złe przeczucia. O dwóch beczkach ktoś mógł zapomnieć, ale tylu, równo ustawionych, z jakiegoś powodu nie chciał zabrać. Nie podobało mi się to. Zaczynałem żałować, że weszliśmy do hangaru. Tak wygląda kuszenie losu.

– Wyjdźmy stąd – powiedziałem.

– Jeszcze chwilę.

Tym mnie wkurzył.

– Głupi jesteś? Wojsko chemiczne udajesz? Przecież to syf, jakiś śmietnik. Chcesz się zatruć?

Ze złości zapomniałem, że mamy mówić szeptem. Błaznane ściany hangaru odbijały słowa głośnym echem, niczym piłeczkę.

Zamiast się odezwać podszedł bliżej beczek. Częściowo wszedł w promienie wpadające przez okno. Wyglądał jak pomnik, właściwie popiersie debila, pomyślałem rozloszczony. Pochylił się i przyglądał ścianie.

– Wychodzę – powiedziałem.

– Chodź tu – szepnął wyraźnie. – Zobacz.

– Sam popatrz i później mi opowiesz – zacząłem się ostrożnie wycofywać.

– Znalazłem coś. Zobacz. Zaraz wychodzimy. Spójrz na to – poświecił wyżej.

Nic nie widziałem. Wiedziałem jednak, że nie kłamał. Czyli, niestety, to nie koniec. Coś na deser do głównego dania. Kazałem mu poświecić pod nogi i podszedłem. Tam, gdzie stał, nie było chłodno. Było zimno.

– Cicho – uciszył mnie i przyciągnął do siebie. – Popatrz tu – wskazał latarką.

W pierwszej chwili nic nie zauważyłem. Powoli zaświecił dookoła.

– Widzisz? – zapytał, nie mogąc doczekać się rezultatu moich oględzin.

Zobaczyłem. Trudne do rozróżnienia. Trochę jakby inny kolor farby. Bono poświecił do rogu. Tam mniej, ale to samo. Nie miałem wątpliwości.

– To komary – powiedziałem.

Tysiące cieniutkich kokoników przylepionych jeden przy drugim pokrywały ścianę i beczki, złane w jedną masę, z daleka nie do odróżnienia. Nad nimi tu i ówdzie latały te, które się już wykluły. Patrzyłem z niedowierzaniem. Dostałem gęsiej skórki.

– Skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia.

– Chyba śpią – powiedziałem wystraszony.

– Wychodzimy. Zobacz tam – poświecił wzdłuż ściany.

W kręgu światła rozróżniłem sporo ruchomych punkcików.

– Myślisz, że to one pokąsały siostrę?

– Na pewno. Chodź, zanim się zorientują – cofnęliśmy się ostrożnie. Zaświecił pod nogi i przez środek hangaru poszliśmy do wyjścia.

Na zewnątrz do razu zamknęliśmy wrota, następnego dnia mieliśmy kupić kłódkę. Stałem i nie wiedziałem, co myśleć o tym wszystkim. Bono też nie miał żadnego pomysłu. Spakował narzędzia do torby i powiedział, żebyśmy poszli nad kanał i zastanowili się, co robić.

Usiedliśmy na nadbrzeżu, opuściliśmy nogi nad wodę. Na chwilę zapomniałem o beczkach. Cieszyłem się portem, betonem pod tyłkiem i nieruchomą, kojącą wodą, kiedyś wzbudzaną przez statki. Naprawdę lubiłem to miejsce. Popatrzyłem na rdzewiejący wycieczkowiec. Zawsze nam kibicował, niczym pies na łańcuchu. Szkoda, że nie mieliśmy czym do niego podpłynąć. Weszlibyśmy na dach i unieśliibyśmy ręce jak prawdziwi zdobywcy. Może jest tam coś ciekawego? A może znowu jakaś śmierdząca tajemnica. Siedzieliśmy w milczeniu, chyba odczuwając podobnie. Z czasem różne myśli zaczęły pojawiać mi się w głowie.

Na razie jednak panowała przyjemna cisza. Przypomniałem sobie radę najlepszego kasiarza z „Vabanku”, mistrza w swoim fachu: Trzeba było uważać.

– Co o tym myślisz? – odezwał się Bono.

– Musimy przestać chodzić nad strumień. Tam przylatują, do cienia. W porcie ich nie widziałem. Tu nie mają się gdzie schować. Całymi dniami świeci słońce. Nigdy nawet głodnej muchy tu nie widziałem. Poza tym nie możemy się skaleczyć. Wtedy je zwabimy, jak siostra. To wszystko. Na razie nie ma sensu robić więcej.

Zgodził się ze mną.

– Masz jakiś pomysł? – zapytałem.

– Oprócz tego, co powiedziałeś, nie. To jedyne rozwiązanie. Nie wpadajmy w panikę. Gryzą – spojrział na drzewa nad strumieniem. – Trzysta, czterysta metrów stąd. I tylko tam. Przynajmniej to wiemy. Siostra musi się trochę krócej opalać, wtedy nie będzie musiała tam chodzić. Rano kupię kłódkę. Zamkniemy hangar i zapominamy, co jest w środku.

– Powiesz jej?

– Nie wiem. Raczej nie. Poza tym, że wyskoczyły jej bąble, nie miała sraczki, zawrotów głowy, nie wymiotowała. Po co jej mówić?

– Masz rację. Posłuchaj, może je spalić?

Zrobił taką minę, że nie musiał odpowiadać.

– Wiesz, co jest w środku? Bo ja nie. Na pewno jakaś chemia, sam to powiedziałeś. Tam może być wszystko. A dzień, w którym podpalisz beczki, nawet po jednej każdego dnia dla ostrożności, będzie ostatnim dla tego odludnego miejsca. Oprócz dymu, może to jeszcze pierdyknąć tak, że odrzuci nas do szlabanu. Proponuję nie podpalać.

– Zgoda, dyrektorze. BHP na pierwszym miejscu.

Posiedzieliśmy jeszcze trochę. W sumie nie było aż tak źle, pod warunkiem, że będziemy przestrzegali ustaleń, głównie siostra. Słońce zaczęło powoli zachodzić, więc zebraliśmy się do domu.

Następnego dnia Bono założył kłódkę, a klucze wrzucił do kanału, co oznaczało symboliczne i praktyczne zakończenie sprawy. Wieczorem zmienił jednak zdanie i powiedział siostrze o beczkach. Dobrze, że poznała prawdę. Nie wystraszyła się, a dzięki temu zniknął problem, co robić, żeby nie cho-

dziła nad strumień. Następnym razem przyjechała więc z nami, rozłożyliśmy koce tam, gdzie zawsze, opalaliśmy się i graliśmy w chińczyka. Wszystko po staremu, jakbyśmy nic nie znaleźli.

Kolejne dni w porcie niczym nie różniły się od poprzednich, i tak przez dwa tygodnie, do czasu gdy siostra zbiegając ze schodów skręciła nogę. Tak pechowo, że na dziesięć dni założono jej gips. Przez ten czas przyjeżdżaliśmy do portu sami.

Dokładnie nie wiem kiedy to, o czym chcę napisać, się wydarzyło, ale mniej więcej w połowie tego okresu. Zasnąłem zmęczony upałem. Bono złamał w tym czasie umowę i poszedł nad strumień. Dokładnie w to miejsce, w którym siedziała siostra, gdy znalazłem ją pogryzioną. O tym, że tam był dowiedziałem się dopiero jak wrócił. Myślałem, że jest na spacerze albo sprawdza coś przy moście. Nie było go dwie godziny. Sądziłem, że poszedł przy okazji na obchód między hangary, zobaczyć czy tam nie latają komary. Leżałem i czytałem „Ludzkość” Divotty’ego, jego ulubionego autora, którą zostawił grzbietem do góry. Zaskoczył mnie. Przyszedł z przeciwnej strony, od strumienia. Nie przepadam za poważną klasyką, ale akurat fragment o transformacji społeczeństw był ciekawy i na czasie, usłyszałem go więc i zobaczyłem dopiero, gdy był prawie przy mnie.

Wrócił pogryziony przez komary. Był także wesoły. Nie mówił nic, ale widać było, że ma dobry humor. Na obu rękach miał po kilkanaście bąbelków. Odłożyłem książkę i usiadłem zaskoczony. Nie sądziłem, że ktokolwiek złamie umowę, a już na pewno nie on. Kto jak kto, ale nie on. Obowiązkowy, stateczny, zdyscyplinowany, tak oceniałem go do tej pory.

– Już jestem. Cały i zdrowy, jak soczek brzoskwiniowy.

Nie zareagowałem. Patrzeć na niego było najlepszą odpowiedzią.

– Posłuchaj. Wiem, co myślisz.

– To dobrze. Ale daj sobie spokój i nic nie mów. Zrobiłeś, co chciałeś.

– Nie denerwuj się. Specjalnie tam poszedłem. Ale z innego powodu niż myślisz. Nie wierzyłem siostrze do końca. Myślałem, że to niemożliwe, żeby po ugryzieniach komarów zachowywać się jak ona, że popisywała się trochę.

Młoda i trochę głupia jeszcze. Wiesz, o co chodzi – tłumaczył. – Wydawało mi się, że dostała jakiegoś zawrotu głowy, oszołomienia, spodobało jej się to. Taki pierwszy raz. Ona nigdy wcześniej się nie upiła, cztery lata temu skończyła podstawówkę. Dopiero zdała na studia.

Spojrzał, czy jego słowa odniosły jakiś skutek i mówił dalej.

– Zresztą, gdybyśmy powiedzieli komuś, to by nie uwierzył. Nikt. Lekarz, profesor, czy naukowiec. Tak nie zachowuje się człowiek po ugryzieniach komarów. Chciałem to sprawdzić. Możesz w to uwierzyć?

– Nie wiem. Wydaje się to mieć sens. No i jak było?

– Poszedłem, usiadłem w tym samym miejscu. Nie czekałem długo. Przyleciały od razu. Kilkanaście, kilkadziesiąt. Na pewno dużo więcej niż normalnie. Nigdy wcześniej podobnej ilości nie widziałem. To było pierwsze spostrzeżenie. Ale nie gryzły mnie. Otoczyły, krążyły dookoła, w ogóle nie siadły. Tylko jeden, czy dwa. Zwabił je pot. Siedziałem i czekałem. Zastanawiałem się, jak to się stało, że tak pogryzły siostrę. Wtedy przypominałem sobie – podwinął rękaw i pokazał rozcięcie. – Wydam ci się szalony, ale niesłusznie. Po pierwsze rana jest mała, po drugie sposób się sprawdził.

Nie wydał mi się szalony. Domyślałem się, że prędzej czy później to zobaczę. Siostra miała ranki na lewym ramieniu, przypominałem sobie. On miał niezbyt głębokie, ale wyraźne dwucentymetrowe skaleczenie.

– Czym przeciąłeś?

– Kolcem. Z tego krzaka, o który zahaczyła.

Rzeczywiście, starał się wszystko odtworzyć. Po chwili powiedział:

– Ułamałem kawałek gałązki. Usiadłem nad strumieniem i przeciągnąłem po ramieniu. Przyleciały prawie od razu, po kilku minutach była ich już masa. Musiałem się odganiać, dokładnie jak siostra. Nie chciałem, żeby ręka mi tak spuchła, naciąłem więc drugie ramię i czekałem, co się stanie. Gryzły. Ewidentnie zwabia je krew. Najpierw nic nie czułem, ale krótko. Niespodziewanie tak dziwnie mi ulżyło. Jakbym wypił dwa, trzy piwa – spojrzał na mnie.

– No, no. Zapowiada się dobrze. Zimne i mam nadzieję z pianką. Taką bielutką, świeżutką, co spływa z kufła. Tak było?

Uśmiechnął się i spuścił głowę. Zdawał sobie sprawę, że trudno mi będzie uwierzyć.

– Ciekawe – odezwałem się.

– Tak się czułem. Jeszcze trochę tak się czuję. Sam to zauważyłeś. Pod drzewami chciało mi się nawet śmiać. Głupoty przychodziły mi do głowy, dziwne skojarzenia. To stało się po ugryzieniach tych komarów. One muszą coś wstrzykiwać. Jestem pewien.

Siostra jednak nie udawała. W drodze do domu cały czas rozmawialiśmy o komarach. Następnego dnia znowu poszliśmy do portu. Wszystko miało odbywać się na dotychczasowych zasadach, ale tak nie było. Bono niespodziewanie znów poszedł pod drzewa. Spodobało mu się tam. Humor miał rzeczywiście jak po kilku piwach. Był w siódmym niebie. Gadał idiotyzmy, o jakie go nie podejrzewałem. Następnego dnia poszedłem z nim.

W ten sposób zaczęliśmy chodzić na komary. Nie mam o to do siebie żadnych pretensji. W kraju, w którym żyliśmy, nie było miejsca na używki, one je zastąpiły. Było wesoło i fajnie. Tylko tyle i aż tyle.

Zaczęliśmy zostawać na noc. Paliliśmy ogniska, pogryziona siostra śpiewała nam piosenki. Stare hity i niezależny studencki repertuar. Niezapomniany w jej wykonaniu i warunkach, w jakich go słuchaliśmy. Generalnie było nam super. Znaleźliśmy azyl, o którym nikt nie wiedział, i gdzie nic nie musieliśmy, żadnych paragrafów, rozporządzeń, kar więzienia albo ośrodka. Nikt nas nie mógł zatrzymać, skontrolować, czy aresztować. Nie było ideologii, rządowych gazet, telewizji, nikt nie mówił, jak się ubierać. Mieliśmy okazję, żeby olać to wszystko ciepłym strumieniem i skorzystaliśmy z niej.

Przyjeżdżaliśmy do portu prawie codziennie przez całe wakacje, aż do końca września. Zawsze we troje. Ustaliliśmy, że gdy któreś z nas nie mogło jechać, zostajemy w domu. Zdarzyło się tak dwa razy. W czerwcu siostra zdała egzaminy na uniwersytecie. Kiedyś powiedziała, że przypominamy pacjentów, którzy są na turnusie w sanatorium. Bono dodał, że ludzie przechodzą różne terapie. Taplają się w błocie, pływają w śmierdzących wodach z bąbelkami, piją mikstury, inhalują się, czy chodzą na masaże. My też mieliśmy swoją terapię. Komary.

To były najfajniejsze z moich wakacji.

Na początku października przestaliśmy przyjeżdżać do portu codziennie, zaczęliśmy studia. W pierwszym tygodniu byliśmy tylko raz. Siostra najpóźniej z nas kończyła zajęcia i nie było sensu urządzać wyprawy tylko po to, by zaraz wracać. Jednak w sobotę i niedzielę siedzieliśmy w porcie od rana. Historię tę wspominam z powodu pewnych weekendowych dni.

Rozłożyliśmy się w sobotę o dziesiątej. Czekaliśmy z opalaniem, aż zrobi się cieplej. O tej porze roku nad kanałem było jeszcze chłodno. Grałem z siostrą w chińczyka, Bono czytał swoją obowiązkową porcję klasyki. Przerzucił się na Sylwestra Poormana. Nie był tak popularny jak Divotty, ale miał swoich zwolenników, do których on się zaliczał. Polecam, jeżeli interesują kogoś filozofie religijne odrodzonej Europy.

Słońce świeciło, lecz nie grzało jeszcze. Lato się skończyło, więc dopiero około południa mogliśmy iść w podkoszulkach nad strumień. Początek października to taki okres, w którym jesień na szczęście nie za bardzo chce przyjść, więc słońce ma jeszcze zajęcie. Oczywiście z każdym dniem coraz krócej, ale dobrze, że ma. Tamtego dnia ja się zaciąłem, a Bono z siostrą korzystali. Ustaliliśmy, że robimy to pojedynczo, tyle krwi wystarczyło. Komary już się przyzwyczyły i przylatywały od razu, wystarczała niewielka ilość krwi do mażnięcia na rękach i nogach.

Poszliśmy po dwunastej, po drodze ułamałem kawałek krzaka. Ledwo mogłem dosięgnąć, obłamaliśmy go już tak, że został tylko konar zwisający nad skarpą. Pod drzewami czekaliśmy, aż nas pogryzą i wróciliśmy do portu. Mimo że było ciepło, znad łąk zerwał się lekki wiatr i wiał nieprzyjemnie w plecy. Nad kanałem usiedliśmy osłonięci hangarami i ogrzewani przyjemnie przez słońeczko. Było leniwie i sympatycznie, ale bez zwykłych wygłupów. Na wczasach podobny nastrój panuje kilka dni przed wyjazdem, kiedy wypoczywasz, wiedząc, że zbliża się koniec. Wycisasz się i korzystasz z ostatnich wolnych chwil. Siostra miała chyba podobne uczucia, bo po południu zostawiła nas niespodziewanie. Włożyła bluzę i poszła na spacer. Posiedzieliśmy z Bono godzinę, rozegraliśmy partyjkę chińczyka i dołączyliśmy do niej.

Krzaki odgradzały ścieżkę od skarpy, ciemne jęzory cienia rzucanego przez drzewa leżały na łące. Walczyliśmy z Bono, kto kogo pierwszy wypchnie za ich linię. Udało się raz mnie, raz jemu. Zaproponowałem, żebyśmy rozpalili ognisko i zostali na noc, ale niestety nie wzięliśmy ze sobą spiworów. Od początku września noce zrobiły się chłodne. Pilnowaliśmy ogniska, żeby nie zgasło, co przydarzało się o świcie. Zawsze ustalaliśmy przed wyjazdem czy nocujemy, tym razem zapomnieliśmy. Na pocieszenie postanowiliśmy rozpałić mały ogień. Jak zawsze, w indiańskim stylu, niewiele dymu, suche gałęzie, których w okolicy nie brakowało i dużo żaru, żeby grzało wystarczająco. Przynieśliśmy z Bono patyki, a siostra poszła nad kanał po koc, karty i chyba ciastka, jeżeli dobrze pamiętam. Palenisko mieliśmy pod drzewami. Bono szykował ognisko, a ja z siostrą rozłożyliśmy koc po drugiej stronie ścieżki. Poprosił o ogień. Rzuciłem mu zapalniczkę. Po kilku nieudanych próbach zwiększył płomień i zapalił bez problemu. Usiedliśmy. Zjadłem herbatnika, zacząłem tasować karty i rozpoczęliśmy grę. Nauczyłem się zasad brydża, co prawda na początku bardziej z konieczności niż z ciekawości, ale przekonałem się. Bono usiadł plecami do portu, ja siedziałem tyłem do ścieżki, siostra naprzeciwko mnie. Na licytacji go puściliśmy. Byłem za słaby na jego trefle, a dziadek wyszedł z kiera. Siostry karta, z tego co zauważyłem po jej zachowaniu, była słabiutka. Potwierdziła to pozwalając mu grać. Zgodnie z przewidywaniami dostał swoje. Przy następnym rozdaniu zaczynałem licytację. Miałem fatalne karty, ale siostra z Bono wyglądali, jakby grali tę partię za karę. Wszystko zależało od dziadka, nie byłem więc jeszcze na straconej pozycji. W milczeniu patrzyliśmy szukając najlepszego koloru. W ognisku strzelały patyki. Wiatr się uspokoił. Myślałem, że przestał wiać, ale poczułem na twarzy delikatne muśnięcie. Kiedy byłem pogryziony lubiłem położyć się w trawie i słuchać, jak szumi. Nie wiedziałem, w co mam wyjść. Dwa trefle dziadka niewiele mi pomogły, a na coś musiałem się zdecydować. Tamtego dnia grałem w brydża ostatni raz, i choć to było byle jakie rozdanie będę pamiętał je do końca życia.

W powietrzu pachniało naturą. Niezbyt intensywnie, ale jeżeli mieszkasz w mieście łatwo ją wyczuwasz. Zapachy trawy, topoli, krzaków, zeschniętych

liści, i nawet herbatników leżących na kocu. Co jakiś czas dołączał do nich dym naganiany z ogniska. Wszystkie mogłem rozróżnić spragnionym kinolem mieszcucha.

Zaryzykowałem cztery tref, licząc bardziej na to, co jest na kocu, niż na to, co trzymam w ręku. Jeszcze raz sprawdziłem karty. Musiałem zaczynać i tak mnie to nie ominie. Spojrzałem na Bona. Patrzył na dziadka, jakby liczył, że w ostatniej chwili odkryje coś dla niego i będzie mógł dzięki temu licytować. Zawsze był ambitny.

– Gotowy? – przerwałem mu zamyślenie.

– Tak – podniósł głowę. – Tak.

– A ty? – zapytałem siostrę.

– Możesz zaczynać.

Zawiał lekki wiatr. Wydawało mi się, że poczułem zapach alkoholu. Ostry i kwaśny, nie zapomina się go nigdy. Rozproszyło mnie to i zastanowiło, co podobnie pachnie. Wiedziałem, że nie mógł to być alkohol, bo nigdzie go nie było, a o nielegalnym obiegu nie słyszałem. Nieważne, już nie czułem.

– Uhhh – zająknąłem się, zapominając, co miałem powiedzieć.

Znowu poczułem alkohol. Wyraźniej, od strony drzew. Odruchowo podniosłem głowę i spojrzałem w tamtą stronę. Rozluźniłem bezwładnie dłoń. Karty spadły na koc.

Na ścieżce stał człowiek.

Wysoki, zaniedbany, około siedemdziesiątki. W zniszczonej, popielatej marynarce, kremowym swetrze noszonym na każdą okazję, grantowych spodniach i skórzanych butach, od zawsze używanych.

Obserwował nas.

Był szczupły, siwe rzadkie włosy zaczesał do tyłu. Policzki miał zapadnięte i nieogolone. Stał za drzewami, kilkanaście metrów od nas. W opuszczonej ręce trzymał powód, dla którego się odwróciłem. Butelkę whisky. Była otwarta. Obejmował ją kościstymi palcami jakby szponami chwycił zdobycz.

– Bono – powiedziałem cicho, zupełnie idiotycznie, jakbym nie chciał spłoszyć nieznajomego.

Też go zauważył. Odłożył karty, ale nie zabrał z nich ręki. Spoglądał na tajemniczego człowieka, a jego mózg pracował na piątym biegu.

– Widzę.

Siostra wystraszona przysunęła się do niego. W dłoni ścisnęła rozdanie. Nieznajomy podszedł parę kroków i zatrzymał się, zachowując bezpieczną odległość. Jego oczy skojarzyły mi się z alkoholem, który trzymał.

– Dzień dobry – przywitał się.

– Dzień dobry – odpowiedział Bono.

Patrzyłem na butelkę. Czarno-biała etykieta „Black Lebel”. Mocna, droga i ekskluzywna whisky. Kiedyś nie każdy mógł sobie pozwolić na jej kupno. Pamiętam, że tata, gdy awansował, dostał taką w prezencie. Delektował się nią później przez dwa lata. Skąd ten człowiek mógł ją mieć? Przecież był zakaz. I nie taki jak prohibicja w Stanach. U nas nikt nie ryzykował długoletnim więzieniem w towarzystwie zbrojców albo morderców. Może to prowokacja? Może ktoś nas podejrzwał i podstawiał dziada ze straży obywatelskiej, żeby nas podpuścił? Popatrzyłem na niego uważniej. Podstawiony musiałby udawać, starać się, a wszystko – sposób, w jaki trzymał butelkę, stał, patrzył, a przede wszystkim jego twarz – przekonało mnie, że jest autentyczny i nie marnuje tego, co trzyma w dłoni. Przeciwnie, często z tego korzysta. Znowu spojrzałem na butelkę. Obejmował ją palcami przechyloną, jakby przed chwilą nalewał z niej. Pomyślałem, że tej dłoni nie sposób podrobić. Więc miał whisky, złotą, prawdziwą. Drugi dowód na to, że przy strumieniu dzieją się rzeczy z innego świata. Skierował wzrok na mnie i przyjrzał mi się małymi oczkami. Były smutne, ale dziwnie ciekawe życia. Miały jakąś tajemnicę, coś, co sprawiło, że spotkaliśmy się w porcie.

Odrzucił się do Bona, jakby wiedział, że jest najstarszy. Nic nie mówił. Czekał, aż odezwie się pierwszy. Nie doczekał się, więc po chwili powiedział:

– Myślałem, że po wakacjach przestaniecie tu przyjeżdżać.

Krzywo się uśmiechnął widząc nasze zaskoczenie.

– Kim pan jest? – zapytał Bono.

Nieznajomy rozłożył ręce i wzruszył ramionami. Jego sweter z dalszej odległości wyglądał lepiej. Na spodniach miał plamy.

– Człowiekiem – staremu zmieniła się twarz. Spowaźniał. Spojrzał na port. Odwrócił głowę w naszą stronę i przedstawił się.

– Nazywam się Czechowski i tu przychodzę – wskazał dookoła. – Tak jak wy.

Bono spojrzał na nas zdziwiony. Wyglądał, jakby go nie zrozumiał. Okazało się, że jestem w błędzie.

– Musiał nas pan pomylić z kimś innym. Dzisiaj jesteśmy tu pierwszy raz. Widziałeś kogoś? – zapytał mnie. – Może jakoś panu pomożemy.

– Nie. Niestety nie – współczująco pokręciłem głową.

Czechowski spojrzał na siostrę i przyglądał się jej. Przysunęła się do Bona. Uspokoił ją, kładąc jej rękę na ramieniu.

– Ej! Proszę na nią tak nie patrzeć. Nie słyszy pan? Jesteśmy tu pierwszy raz.

Nie zareagował. Odwrócił się i popatrzył na ścieżkę, jakby sprawdzał, czy czegoś nie zgubił. Potem podniósł butelkę i napił się.

Zobaczyłem, że ognisko zgasło.

– Chcecie? – wyciągnął rękę. – Mam tego jeszcze trochę.

– Dziękuję – odmówiłem.

Spojrzał wyczekująco na siostrę.

– Ja nie chcę.

– Proszę stąd iść i nas nie zaczepiać – poprosił Bono. – Mówiłem, że pomylił nas pan z kimś innym. Jesteśmy tu pierwszy raz. Nigdy tu nie byliśmy. Zapewniam.

Wstał, dając do zrozumienia, żeby intruz poszedł sobie.

– Nie kłam, chłopcze. Przez całe wakacje byliście tu we trójkę. Leżeliście i opalaliście się. Najczęściej.

– Ty skurwielu!!!

Bono podbiegł i złapał starego za kłapy marynarki.

Zostaw go! – krzyknęła siostra.

Wstała. Chciała dokończyć zdanie, ale nie wiedziała, co powiedzieć.

– To świr. On nas podglądał – powiedział wkurzony.

– Nie. Wiem, jak wyglądam, chłopcze. Ale nie jestem świrem. Nie podglądałem was – wtrącił się obcy.

Po jego głosie poznałem, że mówi prawdę. Był stary, a Bono mocno go trzymał.

– To po co tu przychodziłeś, taki kawał drogi? Bez powodu?

– Miałem powód. Tak jak wy.

– My? – Bono patrzył mu głęboko w oczy. – Jeżeli mamy podobno jakiś powód, to jednak nas podglądałeś, świrze.

Wstałem. Dyskretnie stanąłem za nim, gotowy powstrzymać go, gdy będzie chciał coś zrobić staremu.

– Powtarzam, nie. Nie jestem podglądaczem. Widziałem was z daleka. Nie zależy mi na patrzeniu na was. Nie widzę w tym nic ciekawego, szczerze mówiąc. Przepraszam, jeżeli uraziłem kogoś. Nie przychodzę do portu z waszego powodu.

– To z jakiego? – spytałem.

– Puść mnie – spojrzał na Bona – to wam powiem. Chyba, że chcecie zrobić krzywdę staremu człowiekowi.

Bono zostawił go. Podeszedł do ogniska. Zaczął podkładać patyki. Kiedy skończył, dmuchnął parę razy rozpalając ogień. Wrócił na koc i usiadł. Zrobiliśmy z siostrą to samo. Czechowski podeszedł do nas chwiejąc się. Źle postawił nogę i niewiele brakowało, a straciłby równowagę. Na twarzy pojawił mu się grymas bólu. Odetchnął głęboko, ale jego sweter na piersiach nie poruszył się. Chciał coś powiedzieć, lecz zrezygnował. Spojrzał na nas i napił się. Jak jaszczurka oblizał wargi językiem. Wyciągnął go, tak jakby był za krótki. Zakręcił butelkę. Podeszedł do ogniska. Gapił się w płomień, zastanawiając się nad czymś. Nagle odezwał się:

– Z jakiego powodu tu przychodzę? Bo źle i podle mi się żyje. A tu w spokoju mogę wypić.

Nie interesowało mnie, jak mu się żyje. Wiedziałem za to, że nigdy go tu nie widziałem.

– Często pan tu jest? – zapytałem.

– Do wakacji byłem prawie codziennie. Potem, kiedy zaczęliście i wy przychodzić, ograniczyłem się do trzech razy w tygodniu. Nie chciałem, żebyśmy się spotkali. W imieniu mojej wątroby powinienem wam podziękować.

– Skąd bierze pan whisky? Przecież jest zakazana. Dawno by pana złapali. Musiałby ją pan gdzieś ukryć – wątpię. Od trzech lat nawiedzona władza sprawdzała każdy kąt. Ilości, o jakiej chrzani, na pewno by nie ukrył.

Jego oczy rozszerzyły się. Uśmiechnął się, jakby coś mu się udało.

– Jestem zapobiegliwym człowiekiem. Tego nauczyłem się w wojsku. A stosowałem w życiu – odkręcił butelkę, wypił kilka łyków. Wyciągnął w naszym kierunku częstując znowu.

– Spróbujcie. Oryginalna. Zapewniam, że starczy dla wszystkich.

Podszedł do mnie i podał.

Był pijakiem, ale zazdrościłem mu trochę. Rozejrzałem się dookoła sprawdzając, czy nikt nie czeka na nas w krzakach, aż przystawię ją do ust. Zaśmiał się ochryple rozbawiony podejrzliwością.

– Gdyby, chłopcze, było jak myślisz, już dawno by mnie złapali. Sam to powiedziałeś. To bezpieczne miejsce, zapomniane przez wszystkich.

Stał przy kocu. Trzymał butelkę na wysokości mojej twarzy. Wyciągnąłem po nią rękę. Żołądek ścisnęło mi ze zdenerwowania. Czułem się tak, jakbym robił coś złego. W butelce została mniej niż połowa zawartości. Pachniała, jak prawdziwa whisky. Czarno-biała etykieta „Black Label”. Na dole w prawym rogu napis 40% vol.

– Przepraszam – powiedział niespodziewanie. Odebrał mi butelkę i podał siostrze. – Zaczęłem w niewłaściwej kolejności. Proszę, oto szlachetny trunek.

– Może dla pana. Ja dziękuję – odwróciła głowę.

Opuścił rękę. Nie wyglądał na urażonego. Na ustach nadal miał głupawy uśmiech. Pomyślałem, że Bono zaraz mu coś powie. Spoglądał na siostrę jeszcze chwilę i powiedział:

– Nie sądzę, żebyś miała więcej okazji.

– Ona nie pije alkoholu – wyjaśnił jej brat.

Patrzyłem na starego z profilu. Zastanawiałem się, dlaczego tu przychodzi. Jaką ma tajemnicę. Czechowski odszedł od dziewczyny i podał Bono butelkę.

– Masz ochotę?

Wziął. Nie interesował go etykieta. Wylał szybką i napił się. Posmakował w ustach i przełknął. Widać było, że to dobry gatunek. Stary obserwował go ciekawo opinii. Oddał mu butelkę i wskazał na mnie.

– Zapomniał pan o koledze.

Czechowski podał mi. Powąchałem. Mocny zapach, złoty kolor, niezapomniani. Trzy lata wcześniej pogodziłem się z myślą, że nigdy już nie napiję się alkoholu. Mogłem się łudzić i pocieszać, że za dwadzieścia lat coś się zmieni, ale widziałem, co się dzieje, stratą czasu było wyobrażanie sobie tego.

Nabrałem whisky, przytrzymując ją w ustach i delektując się nią. Drażniła lekko policzki, była mocna. Przełknąłem. W żołądku natychmiast rozpałił się płomień. Tak. Cholernie dobra. Oddałem butelkę Czechowskiemu.

– Widzę, że smakuje – uśmiechnął się z przekąsem.

– Dobra – przyznałem.

Cofnął się. Popatrzył na kanał. Podniósł whisky wznosząc toast.

– Zawsze piję jednego za to miejsce. Wy też powinniście.

Wypił. Wyglądał jak człowiek z innej bajki.

– Nie mógł pan znaleźć podobnego miejsca bliżej miasta, tam przychodzić? – zapytał Bono.

Stary spojrzął na niego. Odniosłem wrażenie, że jest wstawiony. Patrzył, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. Z oczu zniknęła mu mgiełka, były zaczerwienione i błyszczały. Odwrócił się wolno w stronę kanału, jakby nas lekceważąc.

– Nie mogłem.

Bono poprawił włosy i oparł się wygodniej.

– Bo schowałeś whisky w porcie, panie Czechowski. Prawda? Zdążyłeś do brzo ukryć, kiedy jeszcze można było to zrobić. Przychodziłeś sobie codziennie, albo rzadziej, w każdym razie kiedy chciałeś, brałeś faszeczkę i upijałeś się. Ale przeszkadziliśmy ci w tym. Czy może się mylę?

Stary zbliżył się do nas. Pokiwał głową ze współczuciem.

– Brawo, co za inteligentny człowiek – zakpił. – Tylko, co teraz zrobisz, detektywie? Będziesz mnie szantażował, żebym się z wami dzielił? Czy pobiegiesz i ich tu przyprowadzisz? Pokażesz, gdzie ją schowałem, a w nagrodę napiszą o tobie w gazetach? Co? Czy weźmiesz mój nałóg albo wiek jako okoliczność łagodzącą? Może zlitujesz się na procesie i wstawisz u wysokiej komisji? Bo sądem ta banda nawiedzonych fanatyków na pewno nie jest. No? – oczy zwęziły mu się w szparki, usta zacisnęły. – Wydasz starego człowieka, który nie chce i nie może żyć, jak każą idioci na górze? Ooo. Dasz im dowód zniszczenia owieczki w stadzie. Tak. Ich człowiek wśród ludzi. Informator. Taka piękna tradycja nie może umrzeć. Dzięki tobie będą wierzyli w sens tego, co robią. Chyba popełniłem najcięższe wykroczenie – zastanawiał się. – Nie ma teraz nic gorszego od pijaństwa i braku świadomości o nowym państwie. Uczciwym, gdzie wszyscy wierzą w to samo, dzieci chodzą w mundurkach, kobiety są od krochmalenia i gotowania, a telewizja emituje filmy o pierdolonej obywatelskiej postawie – wyliczył. Zrobił przerwę, żeby odpocząć. – Dostanę surowy wyrok. Ale i tak na nich sram. Przekaż im tę wiadomość. Zresztą sam to zrobię – zakończył. W kąciakach ust zebrała mu się ślina. Twarz miał czerwoną ze zdenerwowania. Oczy świeciły się, jak żarówki. Wyglądał na zaskoczonego, że powiedział tyle. Odkręcił butelkę. Wypił resztkę whisky.

– Tak – przełknął krzywiąc się. – Ciężko się teraz żyje. Odławialnia brudów i gestapowskie czasy. Tfu – splunął. – Myślałem, że jesteście mądrzejsi.

Zakręcił korek, wytarł usta rękawem marynarki i poszedł w stronę brzegu kanału.

– Niech pan stąd idzie – poprosił Bono. – Mam nadzieję, że więcej się nie spotkamy. My tu już nie przyjdziemy i może być pan pewien, że nikomu nie powiemy.

– Przestaniecie tu przychodzić? – odwrócił się. – Zrezygnujecie, tak nagle? Prawdopodobnie tylko na zimę. Chłopcze, czym się różni wasze przychodzenie od mojego? Niczym – spojrzał na Bono swoimi żółtymi oczami i podszedł bliżej.

Dzieliło ich kilka kroków. Stary patrzył z góry. Bono wyprostował się i ręce położył na kolanach, jakby zaczynał medytację.

– Wiesz, o czym mówię. Macie szczęście w nieszczęściu. Tak jak ja.

– Jednak nas pan podglądał.

Czechowski nie sprawiał wrażenie zaskoczonego. Jeżeli tu pił, to i tak prędzej czy później musiał nas zobaczyć.

– Podglądał? Was? – prychnął. – Powiedziałem ci, że nie, ale uparłeś się, jakby mówienie o tym sprawiało ci przyjemność. Za stary jestem na takie rzeczy. Poza tym teraz nie wolno nawet o tym myśleć.

– Chłopcze – zaczął – jak ty właściwie masz na imię?

– Bono.

– Bono – powtórzył. – To nie jest twoje imię.

Czechowski niespiesznie nabrał powietrza.

– Przychodzę tu, od kiedy wybudowali port. Pracowali tu moi koledzy. Znałem wszystkich marynarzy, załatwiałem z nimi interesy. Kupowałem taniej, sprzedawałem drożej. Dobre pieniądze z tego były, bardzo dobre, ale się skończyły. Kiedy zamknęli port, została pustka i sentyment, dużo wolnego czasu. Więc przyjeżdżaliśmy tu z kolegą i popijaliśmy za wspomnienia. Nie przestałem tego robić po jego śmierci i nie przestanę teraz, dopóki będę powłóczył nogami i starczy mi zapasów. Wyobrażałeś sobie, że jak was zobaczę, to się wyniosę, przestraszony? I nie będę was podglądał. To jest moje miejsce – oznajmił. – Wy zaczęliście tu przychodzić po te swoje ugryzienia. Miałem nie zainteresować się, kim jesteście i co robicie? Po co rozcinać sobie ramiona i smarujecie, jak dzikusy? Oczywiście, że was obserwowałem. I długo nie wierzyłem. Patrzyłem, czy nie przyprowadziliście kogoś, ale przekonałem się, że nie i z czasem przestaliście mnie obchodzić. Zaakceptowałem was, jak nieszkodliwych lokatorów. Nie interesuje mnie, czy kręci wam się od tego w głowach i co tam jeszcze. To nie moja sprawa. Nawet was rozumiem. Ale myślałem, że dziś już was tutaj nie będzie – przesunął wzrokiem po nas. Włożył butelkę za pasek, przykrywając ją swetrem.

– Mówiłem ci Bono, ciężko się teraz żyje. Najgorzej młodym. Wiem, ale nie wyobrażajcie sobie, że po jednych wakacjach, które tu spędziliście, będziecie mieli prawo do tego miejsca. Jesteście u mnie w porcie. W moim porcie. Musicie o tym pamiętać – zaznaczył i dodał: – Idę już, czas na mnie. Do widzenia.

Odszedł. Przygarbił się, jakby zmęczyła go rozmowa. Ręce schował do marynarki. Nie zataczał się i nigdzie mu się nie spieszyło. Szedł w stronę strumienia. Patrzyliśmy za nim, dopóki nie zniknął za łukiem ścieżki.

To było w sobotnie październikowe popołudnie dwa lata temu. Nie zdarzają się takie spotkania. Jestem z miasta. Mieszkam, mieszkalem i będę w nim mieszkał, a port był naszą jedyną ucieczką. Niewielu ludzi ma podobną możliwość – zostawienia rygoru i partyjnej ideologii za plecami, spędzenia wolnego czasu wbrew pieprzonym nakazom. Mieliśmy szczęście i dbaliśmy o to, by zachować port jak najdłużej. Każdy by tak postąpił. Jednak spotkanie ze starym było dla nas szokiem. Okazało się, że ktoś przychodzi w to samo miejsce. Nie jak my, młody, ale stary pijak, połykający tam codziennie porcję swojego złotego lekarstwa, który dużo mówił, a na końcu, że byliśmy tylko gośćmi. Nie wiem, co sobie pomyślał. Czy uwierzył, że posłuchamy go i przestaniemy przychodzić, bo spędził tu pół życia, i że tylko on może upijać się w porcie, mając komfort pieprzenia całej reszty. Jeżeli tak sądził, to się pomylił.

Długo o tym rozmawialiśmy. Nikt nie chciał rezygnować, tym bardziej z powodu pijaka, o którym dowiedzieliśmy się dopiero teraz. W niedzielę znowu byliśmy tam jak zwykle, od rana.

Siostra rozkładała rzeczy, a my z Bonem poszliśmy sprawdzić, czy stary nie kręci się po okolicy. Tak jak przewidywałem, nie było go. Musielibyśmy mieć ogromnego pecha, żeby spotkać go znowu. Nie miałem pojęcia, kiedy go zobaczymy. Myślałem, że dopiero w przyszłym roku, ale na wszelki wypadek sprawdziliśmy, czy nie wpadł na jakiś głupi pomysł.

Do trzynastej każdy robił co chciał, stały rozkład zajęć. Wtedy stwierdziliśmy, że jest wystarczająco ciepło, żeby przenieść się pod drzewa. To było

jedno z ostatnich zacięć. Za tydzień zdążylibyśmy przed jesiennymi ochłodzeniami, ale za dwa już nie, i przerwa do wiosny. Siostra zaczynała. Po drodze nad strumień poprosiła Bona, żeby odłamał ostrą gałązkę krzewu. W jej rozcięciach było coś niesamowitego. Przypominały obrzędy składane matce ziemi. Próbowiałem kilka razy jej krwi. Miała lekko słodki smak. Naprawdę. Uwierzcie. Jej krew musiała tak smakować. To jak w górach, gdy usłyszysz szumiący strumień. Podchodzisz i możesz napić się, bo wiesz, że płynie w nim czysta woda.

Usiedliśmy pod drzewami i czekaliśmy, aż się zatnie. Choć skóra szybko się goiła i zadrapania nie zostawały na dłużej, nie mogła się zdecydować. W końcu przycisnęła do siebie prawą rękę. W drugą chwyciła kolec, ale zaraz upuściła.

Zauważyła Czechowskiego.

Szedł ścieżką w naszą stronę. Jednak stary nie rzucał słów na wiatr. Nie chce nas tu widzieć. Ale kiedy się zbliżył zobaczyłem, że nie wygląda, jakby miał zamiar nas przepędzić albo przypomnieć, że wakacje się skończyły. Ubrany był tak samo, w strój pijaka, ale ogolił się i chyba umył włosy, gładko je zacesał. Nie patrzył wrogo, raczej niepewnie. Sprawiał wrażenie, jakby chciał spytać o coś. Podeszedł bliżej.

– Dzień dobry – przywitał się.

– Dzień dobry – Bono odpowiedział niezbyt uprzejmie.

– Wczoraj zostawiłem was niespodziewanie, ale ponieważ jest nas tylko czworo pomyślałem się, że się zmieścimy. Tak będzie lepiej, skoro już tu przychodzicie. Dla nas i portu – popatrzył, oczekując aprobaty. – I żeby trwało to jak najdłużej – sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Przyniosłem coś odpowiedniego na tę okazję – wyjął whisky. – Myślę, że moja propozycja wam odpowiada – stwierdził i wyciągnął z drugiej kieszeni następną butelkę.

Siedzieliśmy kompletnie zaskoczeni. Nie był pijany, ale może dlatego przypominał ekshibicjonistę, który pokazuje, co ma pod spodem. Patrzyliśmy, czy mówi poważnie. Zakłopotany i lekko zdenerwowany zapytał: – Czy może wam nie pasuje towarzystwo starego Czechowskiego?

– Nie. To dobre rozwiązanie. Ale pod warunkiem, że nie będziemy sobie przeszkadzać – zastrzegł Bono.

– Rozumiem twoją aluzję, chłopcze – obruszył się. – Ale powiedziałem ci wczoraj, że nie interesuje mnie, co robicie. Chociaż uważam to za prymitywne i odrażające. Wyglądacie jak sataniści. Ale to moje zdanie, pijaka, więc liczę, że was nie uraziłem. Natomiast – spoważniał – ja też mam nadzieję, że jak do tej pory nie będziemy wchodzić sobie w drogę, będziecie o mnie pamiętali. To na przyszłość. A teraz – objął wzrokiem cały teren – uczcijmy, że jesteśmy szczęściarzami w gównie. Ale lepiej być szczęściarzem w gównie, niż gównem w szambie. Mogę usiąść?

– Tak – Bono wskazał miejsce na trawie.

Siostra przysunęła się do brata, zostawiając Czechowskiemu znacznie więcej miejsca niż potrzebował. Wyglądała, jakby obawiała się, że alkohol przenosi się przez dotyk. Niezrażony tym zdjął marynarkę, złożył w kostkę i rzucił pod siebie. Brudny sweter wisiał na nim jak na wieszaku. Rozumiałem siostrę, ale dobrze się stało, że przyszedł, dzięki temu wszystko będzie mogło być po staremu. Spokojnie i bez niespodzianek. Usiadł obok mnie i powiedział, żebyśmy się częstowali.

– Aha. Zapomnieliście o swoich sznytach – dodał.

– Nie, dzisiaj tylko się napijemy – powiedział Bono i spojrzał na mnie. – Drugi raz taka okazja może się nie powtórzyć.

Stary uśmiechnął się głupkowato i podał mu butelkę.

– Nie bądź takim pesymistą, jeszcze nie umieram.

Piliśmy osobno. Nikt z nas nie chciał przykładać ust do tej samej szyki co on. Nie zdziwił się, wystarczająco długo był pijakiem. Znał wszystkie wady i zalety tego nałogu.

Siostra na początku nie miała ochoty, zdecydowała się później. Spróbowała delikatnie na język i okazało się, że odpowiada jej smak whisky. Brała więc małe łyeczki i krzywiła się śmiesznie. Pomimo obecności Czechowskiego siedzieliśmy zadowoleni i upijaliśmy się powoli. Głupio mi o tym wspominać, ale czułem się wtedy kimś wyjątkowym. Butelka whisky

w mojej dłoni była jak nagroda. Zaskakująca i upragniona. Dla tych, którzy wytrwali i przyjeżdżają taki kawał. Może to śmieszne, ale nie sędzę, żeby w promieniu wielu kilometrów stała przed kimś butelka z tym, albo innym trunkiem.

Kręciło mi się w głowie. Rozsiadłem się wygodnie i słuchałem, jak Bono tłumaczy Czechowskiemu sprawę komarów. Dlaczego się zacinamy, gdzie znaleźliśmy beczki. Też go ruszyło. Płatał mu się język, przerywał i zapominał, co chciał powiedzieć. Hangary pokazywał gdzieś za sobą, co chwila poprawiał włosy, oczy błyszczały mu jak fale w słońcu. Stary niedowierzająco kręcił makówką. Powiedział, że przed zamknięciem komisyjnie sprawdzano każdy hangar.

– A zresztą... Znowu jakiś przekręt – machnął ręką.

Napił się i tyle go to obchodziło. Siedział czerwony, rozgrzany. Narzucił sobie szybkie tempo i wypił prawie całą butelkę. Pewnie z wrażenia, że siedzi w towarzystwie.

Siostra nie mogła na niego patrzeć. Drażnił ją. Próbowwała zniechęcić go i sprowokować, żeby poszedł. Kilka razy coś mu złośliwie powiedziała. Siedział jednak rozochocony i nie zwracał uwagi na docinki. Rozgadał się, a właściwie pieprzył. Nie interesowało mnie, co mówił. Słuchałem jednym uchem. Patrzyłem w niebo. Zostałem krótkowidzem, upitym krótkowidzem. Fajne uczucie. Nie wiedziałem, jak daleko są chmury. Wisiały nade mną i nie miałem pojęcia, czy to pół kilometra czy dziesięć. Przestałem, kiedy usłyszałem, jak opowiada o psie, tym który rzucił się na mnie kiedy podszedłem do bramy. Okazało się, że w domu przy drodze mieszkał jego kolega, a kiedy umarł parę lat temu, stary przychodzi tam od czasu do czasu – jak nie zapomni – i dokarmia zwierzę. Od tego momentu siostra zrobiła się jeszcze bardziej złośliwa i nieprzyjemna. Nie dlatego, że pierwszy raz w życiu była wstawiona, choć też. Powiedziała, że nigdy tam starego nie widzieliśmy i gdyby pił mniej i mniej siedział w porcie, to miałby czas, żeby odwiedzać psa. Czechowski wykrzywił się i zdenerwował. Zaproponował, że jak jest taka mądralińska, to niech zabierze psa do domu.

– To zwykły Rex. Palant. Groźny przez płot, a na podwórku tuli ogon, jakby go ktoś skopał. Weź go i pokaż, jakie masz serce.

Był głupcem, cynicznym pijakiem. Siostra znaczyła dla niego tyle co pies, którego dokarmił. Zorientował się jednak, że przesadził. Zaczął się tłumaczyć. Obiecał, że będzie do niego częściej przychodził. Nie uwierzyłem.

Puste butelki leżały przed nami. Stary domyślił się, że klepsydra odmierzyła już jego czas. Próbował znaleźć jakiś powód, żeby zostać, ale zobaczył, że nikt z nas nie ma na to ochoty. Siedział więc niezadowolony. Myślał pewnie, że odejdzie, kiedy jemu się znudzi i będzie odpowiednio pijany. Nagle siostra powiedziała, żebyśmy się zacięli. Sądziłem, że wreszcie poprawił jej się humor, że prowokuje Czechowskiego, ale mówiła poważnie. Bono nie chciał. Był podпиты i słusznie twierdził, że to nie ma sensu. Ja też uważałem, że wystarczy. Czechowski patrzył zaciekawiony, jak się przekonujemy. Uparła się jednak i postawiła na swoim. Stary został z nami.

Nie widział nigdy tego z bliska, a najbardziej niesamowita była dla niego wiadomość, że zaczynała się siostra. Gapił się, jakby chciał zapamiętać każdy jej ruch. Kiedy pogryzło go przypadkowo kilka komarów, dopytywał się, czy to na pewno za mało i nie będzie miał halucynacji.

– Ja mam swój sposób i mi wystarczy – powiedział.

Trzepnęło nas porządnie. Stary, przymulony alkoholem, nie nadążał za nami. Wtrącił się parę razy, ale nikt go nie słuchał. Siedział beczynnie i obserwował działanie komarów.

Rozbolał mnie brzuch ze śmiechu. Chciałem położyć się na trawie, żeby zmienić pozycję i odpocząć, ale siostra nie wzięła koca. Powiedziałem, żeby poszła po niego do portu, ale jej stan nie pozwalał na to. Zrobiłem to za nią. Wyjąłem z plecaka zegarek i sprawdziłem godzinę. Piętnasta pięćdziesiąt jeden. Złożyłem koc i chciałem wracać, ale zobaczyłem siostrę.

– Co się stało?

– Zapomniałam o kremie.

– O kremie?

– O kremieeee – przyłożyła lewą dłoń do piersi. Prawą wyciągnęła przed siebie, jakby grała w teatrze i zadeklamowała: – O kremieeeee!!!

– O kremieeeee!!! – zaczęliśmy się śmiać.

– O kremieeee, nie chcę mieć takiej gęby jak Czechowski. Poza tym chce mi się pić. Mamy coś do picia?

– Nie.

– Szkoda – była wyraźnie zawiedziona. – Wstrętny, ohydny typ. Nie mogę na niego patrzeć. Wygoń go, niech idzie stąd. Proszę. Wygonisz?

– Spróbuję. Ale to nie będzie łatwe.

– A teraz? – niespodziewanie pocałowała mnie w policzek.

– Teraz chyba nie mam wyjścia.

Poczułem zapach whisky z jej ust. Czasami staram się go przywołać, ale jest jak słaby, niewyraźny ślad.

– Poszczuję go butelkami – zdradziłem sposób.

– O, tak! – klasnęła ucieszona. – Świetny pomysł. A kysz pijaku! A kysz! – powiedziała, odwracając się w stronę kanału, gdzie siedział Czechowski. Lekko się zachwiała. – Ups.

Zwinąłem koc, siostra w tym czasie posmarowała twarz. Zakręciła słóiczek, ruszyliśmy z powrotem. Gdy ponownie zobaczyła Czechowskiego, natychmiast zepsuł się jej humor. Byliśmy jeszcze na ścieżce. Odwróciła się i jeszcze raz poprosiła: – Wygoń go stąd! Proszę.

Zrozumiałem, że bardzo jej zależy. Widziałem starego wyraźnie. Siedział podparty z przodu rękami, jakby miał przewrócić się na Bono. Wykorzystując okazję, że zostali sami opowiadał mu coś. Podeszliśmy do nich. Przerwali rozmowę. Bono podniósł głowę. Trochę otrzeźwiał. Wyglądał jakby dowiedział się czegoś ciekawego.

– Słyszeliście, co on mówi?

– Przez megafony. Wszędzie ich pełno.

Uśmiechnął się na moment, ale myślał o czymś innym. Czechowski wykrzywił się kwaśno i patrzył na nas.

– Przesuń się – poprosiłem Bono i rozłożyłem koc. Usiadłem. Siostra stała i czekała, kiedy spełnię obietnicę.

– Niech im pan opowie – powiedział Bono.

– Nie, nie. Po co? – wzbraniał się, udając lekceważenie, bełkotał już trochę. – To stara sprawa, nie ma co wspominać. Prawie nic nie pamiętam.

– Niech pan im opowie, to było dawno temu. Pamięta pan, bo mi pan opowiadał. Poza tym nic ciekawego oprócz tego jeszcze pan nie powiedział.

Cały Bono. Pomimo że był wstawiony, szare komórki działały normalnie. Dał Czechowskiemu możliwość zmiany zdania o nim. Od niego zależało, czy ją wykorzysta. Opierał się i wahał z powodu siostry, ale jednak opowiedział.

Stała na ścieżce niezadowolona. Chciała, żeby stary poszedł jak najszybciej. Powiedziała, żeby się nie martwił i tak nie będzie go słuchała. Pochyliła się i żeby zająć się czymś wzięła butelkę – szklanego psa. Czytała etykietę. Czechowski wspominał historię jednego dnia z zimy tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku.

Nie wiem, po co opowiadał ją Bono, gdy byliśmy w porcie. Może głupiec chciał zwrócić na siebie uwagę. Może za bardzo był pijany, a może po prostu czasami gęba mu się nie zamykała, nie lubił słuchać i chciał gadać za wszelką cenę. Gdy opowiadał, spojrzał parę razy na siostrę. Stała na skarpie, chyba rzeczywiście go nie słuchała. Nie będę powtarzał całej opowieści, bo wszystko, co wiąże się z Czechowskim, przywołuje niemiłe wspomnienia. Streszczę w paru zdaniach, o co chodziło.

Przed wojną pracował w Lublinie jako kamerdyner w znanej, arystokratycznej rodzinie Brańskich, którzy mieli dwoje dzieci, syna i córkę. Nie pamiętał, w jakim były wieku, ale nie miały więcej niż dziesięć lat. Kojarzył, że dziewczynka była starsza o dwa lata. Kiedy wybuchła wojna Brańscy kazali Czechowskiemu wywieźć dzieci pociągiem do znajomych do Warszawy. Zdecydowali się jednak za późno. Do przedziału wsiedli pijani Rosjanie i kazali staremu oddać jedno dziecko. Wszystko jedno które, tak dla zabawy. Mógł wybrać. Albo, zaproponowali, zostawi je, a sam pójdzie z nimi. Stary

oddął dziewczynkę. Tłumaczył nam, że dzieci same by nie dojechały, a tak przynajmniej jedno dowiózł.

– Oddał pan dziewczynkę? – spytała siostra z niedowierzaniem.

Spojrzał zaskoczony. Zapomnieliśmy o niej słuchając, jak opowiadał.

– Tak – potwierdził zdenerwowany jej pojawieniem się. – Ale dzięki temu ocaliłem chłopca.

– Nie mógł pan sam pójść? – dopytywała.

– Mówię ci, że nie! – prawie krzyknął, zły, że wrócił do tamtego dnia.

– Ale panu by nic nie zrobili.

– Zabiliby mnie – ocenił.

– Zabiliby pana? A z nią co się stało? Nie zabili jej? Nie zabili tej małej dziewczynki? Ty śmierdzący tchórze!

Podbiegła i uderzyła go butelką w twarz.

Nie wiem, co mu zrobiła. Cały zalał się krwią. Chyba złamała mu nos. Trzymała butelkę za szyjkę, podniosła i ponownie uderzyła, tym razem w głowę. Na łysinie pojawiła się plama krwi. Uderzyła znowu, wyzywając go od morderców. Rzuciliśmy się na nią. Wyrывała się. Zanim ją obezwładniliśmy, trafiła jeszcze raz. Kanciastą prostokątną butelką po whisky, z grubego szkła.

Rytmicznie zaciskała dłoń na szyjce, jakby dostała skurczu, a na ziemię kapła krew.

Bono zaczął go cucić i reanimować. Zatkanął nos, robił sztuczne oddychanie usta usta. Bezszykownie.

Zabiła go.

Gdy wstał, z brody ciekła mu krew Czechowskiego, oddychał szybko. Wyglądał, jak wcielenie wampira. Pomyślałem, że mam zły sen, że to niemożliwe, że tylko w snach obrazy zmieniają się jak w kalejdoskopie.

Patrzyłem na siostrę. Chciałem, żeby była jak zawsze, wesół i niewinny. Wiedziała, co zrobiła. Trzęsła się i płakała. Nie zapomnę tego płaczu.

W ręce cały czas trzymała butelkę. Łamanym głosem, szlochając, powiedziała: – Przepraszam.

Bono ją przytulił. Nie wyrzuciła butelki. Wystawała z jej dłoni jak bukiet.

Stary leżał na trawie, tylko podkurczone nogi miał na kocu. Bono położył mu ręce na brzuchu, jak po obiedzie. Z otwartych ust wystawał kawałek języka. Twarz i sweter miał we krwi, trudno było rozróżnić jego rysy. Zobaczyłem, że krew ma nawet w oczach. W żołądku poczułem skurcz. Staliśmy jak zaczarowani, nic nie mówiąc. Usłyszałem w głowie szept: – To był pijak, stary pijak. Dobrze, że to coś nie żyje.

– Nie, to źle! To był menel, pijak, ale człowiek!

Zabiliśmy człowieka. Dotarli do mnie konsekwencje. Były jak detonator. W jednej chwili wszystko się zawaliło. Gówniany świat stał się odległy. Ale było za późno. Zamiast niego pojawiła się przestrzeń gotowa do zapelnienia czymś ciężkim i złym – karą.

Bałem się.

Zaciągnęliśmy Czechowskiego nad strumień. Przykryliśmy trawą i gałęziami. Żeby go znaleźć, ktoś musiałby specjalnie zejść ze skarpy i tam szukać.

To było dwa lata temu. Od tamtej pory nie widzieliśmy się i nie rozmawialiśmy. Przez jeden odruch, impuls, który oprócz starego zabił naszą przyjaźń i lojalność, a wzmocnił strach. Nie winię za to siostry. Nigdy jej nie oskarżałem i nie będę. Po prostu sytuacja ją przerosła. Argumenty, że nie musiała chodzić do portu i nacinać się lub pić, są fałszywe i obłudne. Równie dobrze można nie wietrzyć mieszkania, tylko siedzieć w smrodzie. Medal ma zawsze dwie strony. Jaki jest mój? Na jednej jest gówno, a na drugiej Bono z siostrą. Rodzicom powiedziałem, że okropnie się pokłóciliśmy i nie mam ochoty widzieć się z nimi. Oni zrobili chyba to samo, bo po paru telefonach i dwóch kartkach świątecznych od ich rodziców kontakt się urwał.

Teraz też jest październik, tyle tylko, że jego koniec. Często o nich myślę, tęsknię, ale czasu nie można cofnąć. Łączy nas jednak nic tego, co przeżyliśmy i, choć zaplątał się w nią Czechowski, jest mnóstwo przyjemniejszych od tamtego dnia wspomnień. To już drugi taki październik. Pierwszy wytrzymałem, tym razem nie dałem rady. Musiałem się z nimi spotkać, chociaż na papierze. Dlatego to napisałem. Za oknem nic się nie zmieniło. Jest jeszcze gorzej. Odławialnia brudów w imię czystości narodu trwa, żebyśmy wszyscy

byli lepsi i w równym rzędzie poszli do nieba. Najgorzej, że straciłem siły. Nie mogę znieść samotności. Oni przynajmniej są we dwójkę.

Kiedy byłem mały, po śmierci dziadka zapytałem babcię, czy nie jest jej smutno i czy nie tęskni za nim. Odpowiedziała, że tak, i że męczy ją samotność. Nie wiedziałem, co to jest samotność, więc poprosiłem, żeby mi wyjaśniła. Powiedziała, że samotność to wielka pustka. Co to jest wielka pustka już nie pytałem, bo zobaczyłem, że nie ma ochoty na ten temat rozmawiać. Przeżyła dziadka o dziesięć lat. To tanie i melodramatyczne wspomnienie, ale z moją babcią w roli głównej.

Nie wiem, co teraz robić. Nie zależy mi na niczym. Nie mam żadnych planów.

Może pójść przed siebie, zostawię gówna z tyłu.

Może pójść do portu. Nie. Zastanawiałem się nad tym. Nie mógłbym. Nawet teraz, żeby się napić, choć bardzo tego chcę. Stary cwaniak nie wygadał, gdzie schował whisky, ale myślę, że wiem.

Pamiętam ślady w zimie, po lodzie do tyłu statku.

Do partii też się nie zapiszę, bo bym ich pozabijał. Naprawdę nie wiem.

Poczekam jeszcze kilka dni i spróbuję napisać dalszy ciąg. Stary by żył i spotykalibyśmy się do tej pory. Nie, to głupie. A może jednak pójść do portu. Jak mam na imię? To nieważne. Ważne, że mogłem z nimi tam być.